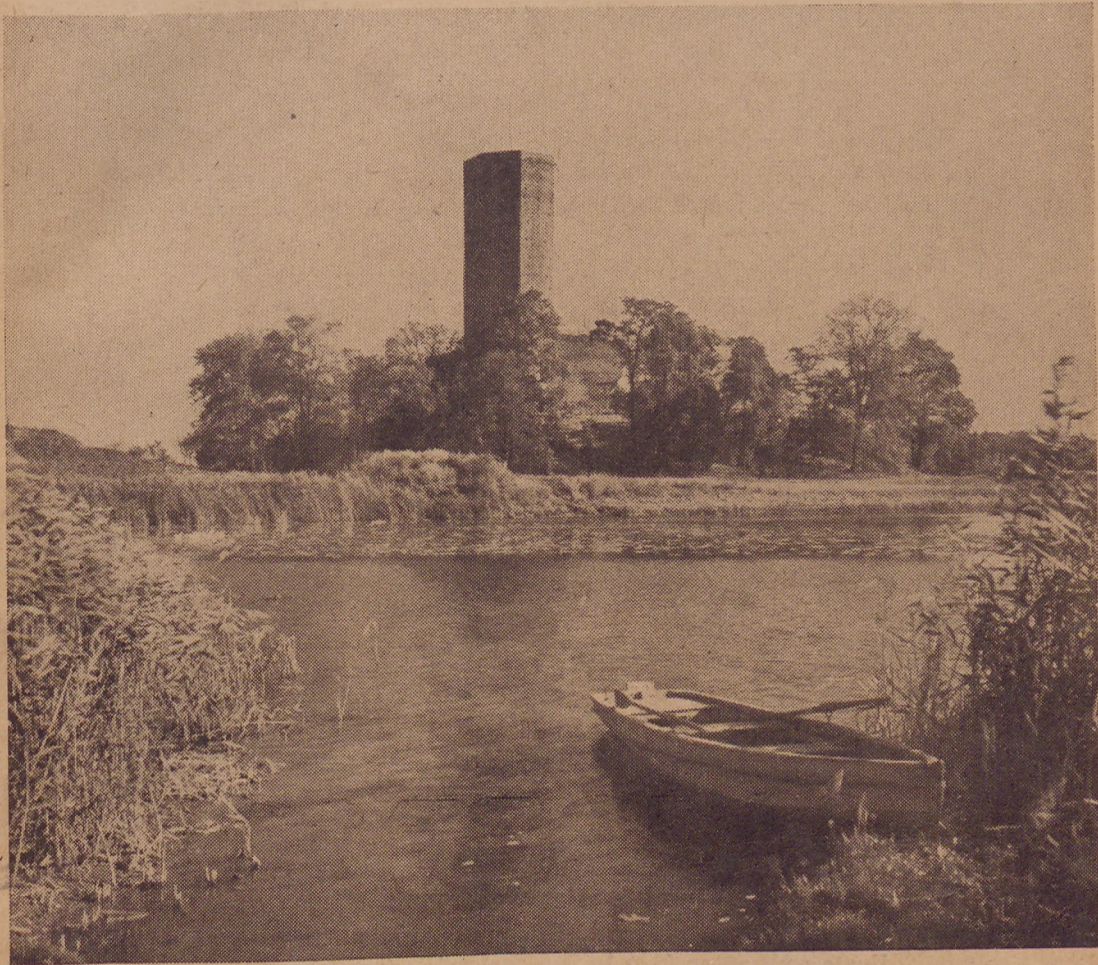


PRZEGLĄD WIELKOPOLSKI



Do artykułu J. Kostrzewskiego: *Tło prehistoryczne w „Starej Baśni”*. TAK ZWANA MYSZA WIEŻA W KRUSZWICY

PRZEGLĄD WIELKOPOLSKI

MIESIĘCZNIK REGIONALNY

pod redakcją

DR. ZDZISŁAWA GROTA i DR. WINCENTEGO OSTROWSKIEGO



CI 739

SPIS RZECZY:

Od Redakcji	1
<i>Dr Florian Barciński</i> : O przebudowę struktury gospodarczej Wielkop.	2
<i>Dr Józef Kostrzewski</i> : Tło prehistoryczne „Starej Baśni“ J. I. Kraszewskiego	14
<i>Dr Adam Skalkowski</i> : Wspomnienie o archiwach wielkopolskich	21
<i>Dr Adam Wiegner</i> : Wspomnienie o Prof. Michale Sobeskim	24
Z ruchu wydawniczego:	
<i>W. Geisler</i> : Landschaftskunde des Warthelandes (Dr J. Kostrzewski)	26
<i>Z. Wojciechowski</i> : Polska — Niemcy. Dziesięć wieków zmagają (Dr G. Labuda)	29
<i>M. Kielczewska i A. Grodek</i> : Odra-Nisa, najlepsza granica Polski (Dr W. Ostrowski)	30
Kronika	31

Kierownictwo graficzne: Marian Romała

Wydawca: Jan Jachowski, Poznań, Zygmunta Augusta 1. — Nakładca: Księgarnia Akademicka, spółdzielnia z odp. udziałami, Poznań, Zygmunta Augusta 1. — Adres Redakcji: Poznań, Zwierzyniecka 20, pok. 7. — Adres Administracji: Poznań, Zygmunta Augusta 1.

PKO V-242. Właściciel konta: Księgarnia Akademicka, sp. z odp. udz. Konto czekowe nr 44 w banku „Społem“ — Oddział w Poznaniu.

6052 — XII. 45. 2000 — K - 7854

Tłoczono w Drukarni św. Wojciecha pod Zarządem Państwowym w Poznaniu.

Dzieln. 10/okm 20

PRZEGLĄD WIELKOPOLSKI

MIESIĘCZNIK REGIONALNY

POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM KULTURY WIELKOPOLSKIEJ W PRZESZŁOŚCI
I W CHWILI OBECNEJ

Rok II

Poznań, styczeń 1946 r.

Nr. 1

OD REDAKCJI

Po sześciu latach przerwy ukazuje się na nowo „Przegląd Wielkopolski”.

* * *

Jak dawniej, tak nadal służyć chcemy zdobywaniu i krzewieniu gruntownej i wszechstronnej wiedzy o Wielkopolsce, naszej bliższej ojczyźnie i macierzy wielkiej naszej Ojczyzny — Rzeczypospolitej Polskiej.

Sądzymy, że w ten sposób będziemy zadość czynili żywej duchowej potrzebie własnej i czytelnika: potrzebie dogłębnego poznawania tego, co sercu bliskie i drogie;

że stwarzać będziemy — mnożąc wiedzę i poznanie ziemi wielkopolskiej — warunki dla większego i rozumniejszego jej umiłowania;

że pobudzać będziemy tym sposobem siebie i czytelnika do żarliwszej pracy i tworzenia, w którym to tworzeniu jak i pożywaniu jego owoców zdobywać możemy najszczytniejsze zadowolenie dla siebie i przyszłych pokoleń.

* * *

Ludzi, którzy tak samo czynią i myślą prosimy o współpracę, dobrą radę i życzliwą krytykę.



O PRZEBUDOWĘ STRUKTURY GOSPODARCZEJ WIELKOPOLSKI

W literaturze naukowej i w publicystyce gospodarczej polskiej panuje szeroko rozpowszechniony pogląd, iż ze wszystkich ziem polskich Wielkopolska posiada najzdrowszą strukturę gospodarczą. Pogląd ten był niewątpliwie słuszny, lecz w odniesieniu do dość odległej już przeszłości, a mianowicie do okresu z przed pierwszej wojny światowej, kiedy to układ ogólnych stosunków ekonomicznych w dziedzinie produkcji, transportu, wymiany i kredytu był dla rolnictwa Wielkopolski wybitnie korzystny i kiedy to rolnictwo stanowiło jakby potężne koło rozpędowe, poruszające i utrzymujące w biegu dziesiątki gałęzi przemysłu, rzemiosła i handlu i przez oddziaływanie swoje zapewniało wysoki poziom dobrobytu ogólnego.

To koło rozpędowe, jakim dla Wielkopolski było rolnictwo, obracało się jeszcze przez pierwsze lata powojenne siłą rozpędu dość szybko, ale później zaczęło stopniowo ustawać, aż w końcu i samo w stagnacji zamarło i przestało oddziaływać ożywiająco na inne dziedziny życia gospodarczego.

Aczkolwiek proces włączania się Wielkopolski do organizmu gospodarczego Polski odbył się dość sprawnie i szybko, to jednak połączony był z ogólnym cofnięciem się na niższy poziom. Prawo naczyń połączonych zrobiło swoje — nastąpiło wyrównanie w dół do ogólnego niższego poziomu w kraju. Ten proces cofania się gospodarczego Wielkopolski trwał prawie bez przerwy aż do wybuchu wojny. Wprawdzie rozbudowa Centralnego Okręgu Przemysłowego, z którą łączyliśmy tak wiele, zresztą całkowicie uzasadnionych nadziei, miała przez swoje pośrednie oddziaływanie odwrócić ten proces cofania się gospodarczego Wielkopolski i pchnąć ją na nowe tory rozwojowe, jednak w rzeczywistości jeszcze go bardziej pogłębiła i przyspieszyła.

Toteż gdy inne części kraju wykazywały we wszystkich dziedzinach gospodarstwa narodowego niewątpliwy i to bardzo znaczny postęp, uwiadczenia się wyraźnie w ogólnym wzroście dobrobytu i kultury, to Wielkopolska raczej ubożała i za nielicznymi wyjątkami, jak przemysł cukrowniczy, mięsny, elektrotechniczny i papierniczy, cofała się na całej linii.

Rolnictwo, dysponujące słabymi, przeważnie piaszczystymi glebami, wymagającymi wielkich nakładów, przeszło do bardziej ekstensywnych form produkcji. Przemysł rolny, zwłaszcza młynarstwo, gorzelnictwo, krochmalnictwo, syropiarstwo i płatkarstwo, skurczył się do $\frac{1}{4}$ stanu

dawniejszego, przemysł tartaczniczy nawet do 1/5. Podobnemu cofnięciu się produkcji i rentowności uległa znaczna część przemysłu metalowego, zwłaszcza przemysł maszyn i narzędzi rolniczych, a następnie browarnictwo, przemysł superfosfatowy, zapalczany, tytoniowy i wódczany, a więc cofnęły się te właśnie dziedziny gospodarstwa Wielkopolski, które decydowały o wysokim poziomie ekonomicznym tych ziem i o dobrobycie jej mieszkańców.

Stało się jasnym, iż przyczyny tego permanentnego kryzysu tkwią nie w przemijającej koniunkturze, lecz znacznie głębiej, a mianowicie w zbyt jednostronnej strukturze gospodarstwa Wielkopolski.

Nie ulega wątpliwości, iż w radykalnie zmienionych warunkach ekonomicznych, społecznych i politycznych Polski doby obecnej, rolnictwo i przemysł rolny nie będą mogły stanowić dostatecznie silnej podstawy, na której mogłaby się oprzeć całość gospodarstwa społecznego Wielkopolski. Podstawę taką może i będzie stanowić tylko bardziej wszechstronnie rozwinięty przemysł, a mianowicie taki, który tu znajdzie dogodne warunki energetyczne, surowcowe, ludnościowe, transportowo-komunikacyjne i rynkowe.

Wielkopolska posiada przeważnie tego rodzaju surowce, których uzyskanie przed wojną w ramach gospodarki indywidualistyczno-kapitalistycznej napotykało na nieprzewyciężone trudności. Trudności te wynikały: 1. z braku kapitału na pionierskie inwestycje, 2. z braku widoków na początkową rentowność takich inwestycji, 3. z obawy przed silną konkurencją ze strony innych okręgów przemysłowych w państwie i 4. z niesprzyjającego tego rodzaju inwestycjom nastawienia ogólnego kierunku polityki ekonomicznej państwa. Obecnie sytuacja ogólna uległa tego rodzaju zmianom, które przy szybkim i umiejętnym dostosowaniu się do nich mogą Wielkopolsce przynieść istotnie wielkie i trwałe korzyści.

Ogólne gospodarcze i społeczno-polityczne zmiany, wywołane wojną, a w szczególności zmiany granic politycznych, przemawiają za tym, iż już w niedalekiej przyszłości rozpocznie się wielki proces przesuwania się głównych ośrodków i punktu ciężenia gospodarczego Polski bardziej na zachód.

Przesunięcia te, jak i odbudowa zniszczonego lub wywiezionego przemysłu będzie się odbywać niewątpliwie według wielkiego, jednolitego i ogólnopolskiego planu, opracowanego i realizowanego bezpośrednio przez państwo, lub co najmniej pod jego ścisłą kontrolą.

Planując, a następnie realizując tę przebudowę, państwo przegrupuje ważniejsze dziedziny wytwórczości krajowej pod kątem widzenia nie rentowności indywidualnej, lecz z szerszego punktu widzenia interesu

całości państwa i narodu. Wyznaczy ono poszczególnym okręgom taką rolę gospodarczą, do jakiej predestynować ją będą warunki naturalne ich środowiska geograficznego i społecznego, i to w ten sposób, aby warunki te wyzyskać w stopniu optymalnym i zharmonizować z rozwojem innych okręgów.

Jaką rolę w tym ogólnym planie przebudowy państwo wyznaczy Wielkopolsce, na razie dokładnie nie wiadomo. Pewnym jest jednak, iż zrealizowanie jakichkolwiek bądź planów w odniesieniu do Wielkopolski może ją postawić wobec faktów dokonanych, których później nie będzie można naprawić ani odwrócić.

Tymczasem Poznań, który dzięki swemu wyjątkowo korzystnemu położeniu geograficznemu, na skrzyżowaniu niezmiernie ważnych dróg lądowych i wodnych, ma wszelkie warunki ku temu, ażeby stać się duchową i gospodarczą stolicą nie tylko swego województwa, ale i całej Polski Zachodniej, łącznie z ziemiami nadodrzańskimi, może i powinien w pełni wykorzystać tę korzystną dla siebie niepowtarzalną w dziejach gospodarczych sytuację i już teraz wypracować dla Wielkopolski taki plan gospodarczy, któryby jej zapewnił nie tylko odbudowę, ale i trwałe warunki rozwoju na przyszłość.

Analizując możliwości rozwojowe gospodarstwa narodowego Polski powojennej, oraz rolę, jaką Wielkopolska może i powinna w całości tego gospodarstwa odegrać, dochodzimy do wniosku, iż w regionalnym ramowym planie powinno być dążenie do stworzenia w Wielkopolsce takiej struktury gospodarczej, w której 40% ludności żyło by z rolnictwa i zawodów z nim związanych, zaś 60% z przemysłu, handlu, transportu itp., z czym oczywiście byłaby związana konieczność tworzenia nowych gałęzi górnictwa i przemysłu.

Podstawą do ich powstania powinna być na wielką skalę zakrojona elektryfikacja, oparta na miejscowym węglu brunatnym, którego Wielkopolska i ziemie sąsiednie posiadają ogromne ilości, oceniane przez geologów na wiele miliardów ton. Węgiel ten dotychczas prawie wcale nie był eksploatowany z przyczyn, o których już wyżej wspomniano, a które dają się sprowadzić do dwóch głównych, a mianowicie: 1. braku inicjatywy ze strony państwa i kapitału prywatnego i 2. braku widoków rentowności, zwłaszcza w pierwszej fazie rozwojowej. W związku z tym lokata kapitału prywatnego w pionierskim miejscowym górnictwie węgla brunatnego była zbyt ryzykowną, co znów uniemożliwiało ruszenie sprawy z miejsca.

Nie znaczy to jednak, ażeby takie pionierskie inwestycje nie były ze wszech miar pożądane i celowe i z punktu widzenia interesów ogólnogospodarczych i społecznych nie przynosiły na długą metę istotnie wielkich korzyści.

Skoro w podobnych warunkach na Śląsku Dolnym i Łużycach, w oparciu elektryfikacji i przemysłu na tamtejszym węglu brunatnym, doprowadzono do niebywałego rozkwitu gospodarczego i radykalnej zmiany struktury zawodowej ludności, nie ma istotnie wielkich przeszkód do zrobienia tego w Wielkopolsce.

Argument, iż w kraju takim, jak Polska, posiadającym nadmiar węgla kamiennego, węgiel brunatny nie może odegrać poważniejszej roli gospodarczej, nie jest przekonujący ani nawet poważny. Jaskrawym przykładem tego są Niemcy, które, mając olbrzymie złoża węgla kamiennego, pomimo to wydobywali rocznie około 200 milionów ton węgla brunatnego, a więc bezmała cztery razy tyle, co reszta świata razem wzięta. Ponadto, co jest najważniejsze, nie można zapominać o tym, iż już za lat kilkanaście staniemy wobec zupełnego wyczerpania się światowych zasobów ropy naftowej, a wówczas nasz węgiel kamienny stanie się niezmiernie cennym surowcem dla produkcji i wielkiego eksportu sztucznej benzyny, smarów i olejów pędnych. Ewolucja gospodarstwa światowego zmierza wyraźnie w tym kierunku, to też wszystkie przemysłowe państwa świata w szybkim tempie budują u siebie wielkie chemiczne fabryki upłynniania węgla. Tymczasem państw, mających duże zasoby węglowe, które by można w przyszłości przeznaczyć do produkcji sztucznej benzyny, jest stosunkowo niewiele. Toteż sytuacja Polski w tej dziedzinie jest wyjątkowo korzystna, ale prawdziwie wielkie korzyści z naszych złóż węglowych zacznemy czerpać dopiero wtedy, gdy staniemy się jednym z główniejszych producentów i dostawców paliwa płynnego.

Nasze pozornie niewyczerpalne złoża węgla kamiennego przy masowej przeróbce na paliwo płynne i cele ogólnoprzemysłowe zaczną się szybko wyczerpywać. Wprawdzie w ujęciu statystycznym, przy stałej rocznej produkcji 40 milionów ton węgla, wszystkie zasoby węglowe, łącznie z odzyskaną resztą zagłębia górnośląskiego, licząc do maksymalnej głębokości 2000 metrów, wystarczyłyby na około 4000 lat, ale w ujęciu dynamicznym czasokres ten nie jest zbyt odległy. Jeżeli mianowicie uwzględnimy stosunkowo niewielki współczynnik corocznego wzrastania wydobywania węgla kamiennego o 3%, wówczas zasoby do głębokości 2000 metrów starczą tylko na lat 164, a do głębokości 1000 metrów, co przy dzisiejszym stanie techniki jest granicą rentownej eksploatacji, za ledwie na lat 130.

W tym oświetleniu i z takiej perspektywy rozpatrywany problem oszczędzania węgla kamiennego i zastępowania go, gdzie się tylko da, węglem brunatnym, nie budzi żadnych zastrzeżeń. Co się zaś tyczy często powtarzanego zarzutu nierentowności stosowania węgla brunatnego, to cały świat, a z nim i Polska wkracza dziś w dziedzinie gospodarki

surowcowej w epokę, w której problem rentowności zaczyna powoli ustępować przed ważniejszym od niego problemem produktywności i użyteczności społecznej.

Kierując się tymi zasadami i mając na uwadze własne korzyści przyszłe, Niemcy rozpoczęli podczas okupacji realizację wielkiego planu elektryfikacji Wielkopolski na węglu brunatnym. Opierając się na wynikach naszych przedwojennych wstępnych poszukiwań geologicznych, które skrupulatnie kontynuowano, odkryto w Gośławicach i Morzysławiu pod Koninem na głębokości zaledwie 4-ch metrów wielki pokład węgla brunatnego o grubości od 2-ch do 10 metrów, który zaczęto eksploatować systemem odkrywkowym. Według informacji, uzyskanych w Zjednoczeniu Energetycznym Okręgu Poznańskiego, przy kopalni odkrywkowej rozpoczęto budowę suszarni i fabryki brykietów, oraz elektrowni, obliczonej początkowo na 50 000, a następnie na 100 000 kilowatów mocy. Miał to być zakład istotnie wielki, który po ostatecznym wykończeniu produkowałby więcej energii elektrycznej, aniżeli Rożnów przy pełnym wyzyskaniu zapory.

Te 3 połączone ze sobą zakłady, a mianowicie: 1. kopalnia odkrywkowa, 2. suszarnia i brykietownia i 3. elektrownia miały być pierwszym krokiem do elektryfikacji najpierw rolnictwa i wsi, a następnie miast i przemysłu Wielkopolski. O rozmiarach tej akcji najlepiej świadczy fakt zbudowania około 1200 kilometrów linii wysokiego napięcia, z których linie: 1. Gorzów—Poznań, 2. Gniezno—Poznań, 3. Bydgoszcz—Pakość, 4. Gniezno—Pakość i 5. Kalisz—Sieradz—Kutno w napięciu 100 000 volt, inne zaś o napięciu 30 000 volt. Ponadto ukończono projekt linii Kalisz—Leszno—Poznań oraz Kalisz—Konin.

Koszt własny prądu miał być bardzo niski i dostępny dla wszystkich odbiorców prywatnych, rolnictwa, rzemiosła i przemysłu.

Wobec rozległości terenów występowania węgla brunatnego istnieje duże prawdopodobieństwo odkrycia i w innych okolicach Wielkopolski, zwłaszcza na południu i zachodzie, pokładów płytkich, umożliwiających tanią eksploatację odkrywkową, jak to ma miejsce pod Koninem, co by ogromnie ułatwiło budowę suszarni, brykietowni i elektrowni i pozwoliło na pokrycie całej Wielkopolski gęstą siecią linii elektrycznych wysokiego napięcia.

Tanie własne źródło energii elektrycznej otworzyłoby przed Wielkopolską zupełnie nowe możliwości. Powołałoby ono do życia w naszych podupadłych miasteczkach setki i tysiące nowoczesnych zmechanizowanych warsztatów rzemieślniczych, liczne drobne fabryczki galanterii metalowej, okuć, narzędzi precyzyjnych, sprawdzianów, wyrobów z drzewa, zabawkarstwa, meblarstwa, galanterii włókienniczej itp., co by najbardziej odpowiadało uzdolnieniom ludności i charakterowi miast

wielkopolskich. Ożywiłoby to je i podniosło ekonomicznie, budząc do życia nie tylko przemysł, ale i handel i w rezultacie wciągnęłoby w orbitę ich oddziaływania rolnictwo, które też i bezpośrednio znalazłoby w elektryfikacji potężny bodziec postępu.

Poza elektryfikacją na węglu brunatnym, która stanowiłaby pozycję najbardziej kluczową i czynnik katalizujący, silniej i wszechstronniej działający, aniżeli przemysł budowlany, węgiel ten stałby się następnie podstawą dla rozwoju wielkiego nowoczesnego przemysłu chemicznego.

Już bezpośrednio przed wojną, a jeszcze bardziej podczas wojny, węgiel brunatny stał się niezmiernie ważnym surowcem wyjściowym dla produkcji benzyny, olejów pędnych, smarów maszynowych, smoły, parafiny, krezotu, koksu, gazów opałowych, kauczuku syntetycznego, barwników i setek artykułów i półfabrykatów przemysłu chemicznego i farmaceutycznego.

Wprawdzie budowa tego rodzaju fabryk chemicznych wymagałaby olbrzymich środków kapitałowych, wielkiej wiedzy i doświadczenia technicznego, wysoko wyszkolonego personelu robotniczego i możliwości korzystania z wielu patentów, ale pomimo to, wierząc w zdolności twórcze narodu polskiego, leży w granicach realnych możliwości. Z drugiej znów strony chyba nie jest wykluczone uzyskanie dla Polski typu wielkich zakładów, które po zdemontowaniu możnaby przewieźć i zainstalować w Wielkopolsce w rejonach występowania węgla brunatnego.

Węgiel brunatny mógłby ponadto przyczynić się do podniesienia niektórych gałęzi przemysłu mineralnego. Cegielnie, fabryki wyrobów ceramicznych, fajansowych i porcelanowych oraz huty szklane, mając na miejscu doskonały surowiec (za wyjątkiem kaolinu), wegetowały wskutek wysokich kosztów przywozu węgla kamiennego ze Śląska. Otóż przynajmniej część z nich, a mianowicie te, które znajdują się bliżej przyszłych odkrywkowych kopalni węgla brunatnego, będzie można po wysuszeniu lub w postaci brykietów z powodzeniem stosować, co im pozwoli na obniżkę kosztów produkcji i wyjście na szerszy rynek zbytu, a w następstwie tego i na pełniejsze wykorzystanie urządzeń wytwórczych.

Reasumując wyżej powiedziane, dochodzimy do wniosku, iż pełne zużytkowanie miejscowego węgla brunatnego poprzez elektryfikację i przemysł chemiczny prowadziłoby: 1. do wielkiej oszczędności węgla kamiennego, zachowując go w wyższym stopniu jako niezmiernie cenny surowiec do produkcji i przyszłego wielkiego eksportu paliwa płynnego, 2. do powstania wielu nowych gałęzi przemysłu, 3. do pełniejszego wykorzystania możliwości produkcyjnych przemysłu już istniejącego, 4. do zmechanizowania i udoskonalenia rzemiosła i drobnego przemysłu przetwórczego, 5. do ułatwienia i uprawnienia pracy w rolnictwie.

Ponadto należy podkreślić, iż w ten sposób stworzony lub przekształcony przemysł miałby głównie charakter przemysłu drobnego (za wyjątkiem chemicznego) o najdalej posuniętym procesie produkcji uszlachetnionej, wymagającej precyzji wykonania i wielkiej ilości pracy kwalifikowanej. Przemysł ten nie dążyłby wcale do koncentrowania się w jakimś jednym okręgu, lecz miałby tendencje raczej dekoncentracyjne, co razem wzięwszy najbardziej odpowiadałoby tak dążeniom państwa, jak i charakterowi i uzdolnieniom ludności Wielkopolski.

Oprócz węgla brunatnego Wielkopolska posiada jeszcze inne surowce mineralne, których pełniejsze, niż dotychczas wykorzystanie wpłynęłoby nader korzystnie na jej uprzemysłowienie, a przez to i na przebudowę jej struktury gospodarczej. Należą tu w pierwszym rzędzie sól kamienna i sole potasowe.

Wielkopolska posiada, praktycznie rzecz biorąc, niewyczerpalne zasoby soli kamiennej, występujące w postaci olbrzymich egzematów i pokładów. Złoża te, w związku z polityką Państwowego Monopolu Solnego, popierającego usilnie kopalnie w Małopolsce, były dotąd tylko w drobnej mierze wyzyskane. Tymczasem geologiczne i techniczno-produkcyjne warunki eksploatacji soli w Wielkopolsce są bez porównania korzystniejsze, aniżeli w Wieliczce, co się najwyraźniej uwidoczniło w różnicy kosztów wydobycia. Podczas gdy w Wieliczce koszt własny wydobycia 1 tony soli wynosił przed wojną przeciętnie około 50,— zł, to w Wielkopolsce cena sprzedażna soli z kopalni prywatnej dla Monopolu Solnego wynosiła zaledwie 25,— zł i pomimo to była zyskowna.

Wniosek, jaki z tego wynika, jest tylko jeden i nieodparty: oto należałoby w ogólnopolskim planie odbudowy gospodarczej kraju traktować Wieliczkę jako obiekt muzealny, z ewentualnym stworzeniem przy niej uzdrowiska, całą zaś produkcję soli skoncentrować w Wielkopolsce, gdzie należałoby zbudować nowe kopalnie, pokryć w 100% zapotrzebowanie wewnętrzne całej Polski, a nadwyżki produkcyjne eksportować drogą wodną za granicę. Takie przegrupowanie górnictwa solnego rozszerzyłoby w Wielkopolsce istniejące i powołało do życia nowe działy przemysłu chemicznego, szerokim zaś masom ludności całej Polski dałoby sól kuchenną naprawdę taną, ażeby już nigdy nie powtarzały się fakty dwukrotnego gotowania ziemniaków w tej samej, raz osolonej wodzie.

Jeszcze ważniejsze i głębiej sięgające w skutkach byłoby powołanie do życia w Wielkopolsce górnictwa i przemysłu potasowego. W Inowrocławiu, Wapnie i Szubinie stwierdzono już dawno istnienie złóż soli potasowych. Ze względu jednakże na istnienie bogatych i łatwych do eksploatacji złóż w Małopolsce Wschodniej, nie zostały one dokładniej zba-

dane i nie były przedmiotem bliższych zainteresowań naszych przemysłowców.

Dopóki Małopolska Wschodnia mogła bez trudu pokrywać zapotrzebowanie całej Polski w nawozy potasowe, a nawet dawać pewne nadwyżki eksportowe, problem potasowy w Wielkopolsce nie miał znaczenia praktyczno-gospodarczego. Tymczasem teraz sytuacja ulega radykalnej zmianie i rolnictwo Polski, a zwłaszcza ziem zachodnich, zużywających 80% ogólnopolskiej konsumpcji nawozów potasowych, staje wobec konieczności importu tych nawozów z zagranicy.

Pomijając trudności dewizowe, skazywałoby to nas na zależność nawet w dziedzinie wyżywienia od zagranicy i uniemożliwiłoby raz na zawsze powstanie niektórych gałęzi przemysłu chemicznego, dla którego sole potasowe są ważnym surowcem wyjściowym.

Wielkopolska, a jeszcze w wyższym stopniu Pomorze Zachodnie mają gleby przeważnie piaszczyste, na których bez soli potasowych utrzymanie dotychczasowej wydajności rolnej byłoby nie do pomyślenia. Przed wojną Polska nie była krajem nadwyżek zbożowych, a jeżeli je miała i eksportowała, to pochodziły one nie z rzeczywistej nadprodukcji, lecz z niedoładania ludności wiejskiej. Tymczasem musimy nakarmić nie tylko wygłodniałą ludność, ale i dalszy jej przyrost naturalny, co wymagać będzie corocznego zwiększania produkcji rolnej o około miliona kwintali zboża. Toteż jeżeli mamy nie przejść do roli importera zboża, musimy już teraz uczynić wszystko, ażeby dokładnie zbadać istniejące i szukać nowych złóż soli potasowych na zachodzie Polski.

Powołanie do życia górnictwa i przemysłu potasowego w Wielkopolsce miałyby nie tylko ogromne znaczenie dla rolnictwa całej Polski. Dałoby pracę dużej ilości robotników w kopalniach i nowych fabrykach chemicznych, ale ponadto wpłynęłoby bardzo dodatnio na potaniecie kosztów eksploatacji soli kamiennej, która występuje zwykle razem z solami potasowymi. Wydobywanie jednej powoduje często konieczność równoczesnego wydobywania drugiej. W nowym górnictwie potasowym Wielkopolski sól kamienna byłaby masowym produktem ubocznym, a więc zasadniczo tańszym, aniżeli wydobywana jako produkt główny.

Ubocznie tanio wydobywana sól kamienna mogłaby być masowo eksportowana zagranicę. Przed wojną eksport ten był prawie niemożliwy, gdyż koszta przewozu kolejowego z Wieliczki do portów były w stosunku do wartości soli zbyt wysokie, a ponadto konkurencja niemiecka była nie do pokonania. Tajemnica niezwyklej taniości niemieckiej soli kamiennej na rynkach międzynarodowych tkwiła w tym właśnie, że Niemcy, jako największy na świecie producent soli potasowych, wy-

dobywali ubocznie ogromne ilości soli kamiennej, którą masowo przetwarzali w swoim przemyśle chemicznym, a ponadto masowo eksportowali.

Należy podkreślić, iż tak same kopalnie soli kamiennej i soli potasowych, a jeszcze w wyższym stopniu przemysł chemiczny, oparty na tych solach, wymagają wielkich ilości energii elektrycznej, większość bowiem produktów pochodnych chlorowych i sodowych otrzymuje się drogą elektrolizy, z czego wynika, że głównym warunkiem ich powstania i rozwoju musi być uprzednia elektryfikacja Wielkopolski.

Nie można pominąć milczeniem innych surowców mineralnych Wielkopolski, jak gips, wapień, glina i ruda żelazna. Ta ostatnia jest wprawdzie uboga i nie tworzy nigdzie grubszych pokładów, ale za to jest łatwotopliwa i występuje tuż pod powierzchnią. Przy niewielkim wysiłku organizacyjnym i bez specjalnych nakładów, możnaby łatwo doprowadzić jej eksploatację do 100—150 tysięcy ton rocznie, co wobec znanego ubóstwa Polski w dziedzinie rud żelaza, miałoby pewne znaczenie nawet w skali ogólnopolskiej. Wzmozona eksploatacja tych rud w Wielkopolsce dałaby zatrudnienie dla pokażnej ilości ludności właśnie w najbiedniejszych okolicach na południu i zachodzie województwa, a ogólny przychód gotówkowy z tego źródła oceniany był przed wojną na 2 miliony złotych rocznie.

Co się zaś tyczy pokładów gipsu, wapieni i gliny, to są one w Wielkopolsce tak wielkie, jak bodaj nigdzie w Polsce. W Inowrocławiu pokład gipsu mierzy 200 metrów grubości, w Wapnie około 80, przy czym pokłady te mogą dostarczać znakomity surowiec dla produkcji wapieni w rejonie Pakości, Barcina i Szubina, występując bardzo płytko, bo za ledwie na głębokości 2—4 metrów, stanowią niezrównany materiał do produkcji wapna budowlanego i przemysłowego. Nie mniejszych rozmiarów są pokłady wapna łąkowego koło Chodzieży, służące do produkcji wapna nawozowego. Powszechnie występujące pokłady gliny stanowią znakomity surowiec dla przemysłu ceramicznego. Wysoki poziom tego przemysłu w Wielkopolsce i niedoścignioną jakość jego wytworów zawdzięczamy w wysokim stopniu właśnie tej glinie.

Wszystkie te surowce, które ponadto, jak gips i wapień, znalazłyby szerokie zastosowanie w przemyśle chemicznym, są tylko w minimalnym stopniu wykorzystywane, a przemysł mineralny na nich oparty nie może w całej pełni wyzyskać swych urządzeń produkcyjnych wskutek wysokich kosztów węgla kamiennego. Gdyby dysponował tańszym węglem brunatnym, jego sytuacja uległaby radykalnej poprawie. Mógłby on wówczas obniżyć koszty własne i wyjść na szerszy rynek zbytu, którego

pojemność w związku z odbudową zniszczonych miast będzie na długie lata prawie nieograniczona.

Zupełnie wyjątkową rolę w przebudowie struktury gospodarczej Wielkopolski odegrałaby ropa naftowa. Wprawdzie dotychczasowe poszukiwania geologiczne dały wyniki negatywne, ale że objęły one tylko znikomy skrawek terenów przypuszczalnego występowania ropy, więc też sprawy tej całkowicie nie przesądzają. W warunkach geologicznych nader podobnych Niemcom udało się odkryć pokaźne źródła naftowe pomiędzy Hannoverem i Hamburgiem i doprowadzić własną produkcję ropy do poziomu wyższego, niż w Polsce. Zważywszy nieustanne cofanie się produkcji ropy w Polsce, związane z nieuchronnym wyczerpywaniem się jej znanych zasobów, a ponadto biorąc pod uwagę utratę dwóch zagłębi, powinniśmy uczynić wszystko, co jest konieczne do gruntownego zbadania problemu tych złóż w Wielkopolsce. W wypadku pozytywnego wyniku byłoby to dla Wielkopolski potężnym zastrzykiem energii życiodajnej, którego zbawienne skutki odczuwałyby szybko wszystkie dziedziny jej życia.

Aczkolwiek naszkicowany w ten sposób w ogólnych zarysach kierunek rozbudowy przemysłu w Wielkopolsce, oparty głównie na miejscowym surowcu i na własnej podstawie energetycznej w postaci węgla brunatnego, doprowadziłby w skutkach do pożądanego i daleko sięgającej przebudowy struktury jej gospodarstwa społecznego, to jednak nie wyczerpuje wszystkich możliwości uprzemysłowienia.

W zmienionym powojennym układzie stosunków gospodarczych w Polsce, Wielkopolska ma wszelkie dane do stworzenia u siebie przemysłu włókienniczego, posiadającego tutaj bardzo stare, chociaż już przeważnie zapomniane tradycje.

Wbrew szeroko utartym poglądom, przemysł włókienniczy w Polsce był słabo rozwinięty i wymagał już przed wojną dalszej znacznej rozbudowy. Jeżeli za wskaźnik potencjału produkcyjnego weźmiemy ilość zainstalowanych wrzecion, to okaże się, jak daleko nam było nie tylko do takich potentatów włókienniczych, jak Anglia, Francja lub Czechy, ale nawet państw przemysłowo zacofanych i do przeciętnej ogólnoswiatowej.

Relatywnie, w przeliczeniu na jednostkę zaludnienia, ilość zainstalowanych wrzecion była w Polsce przed wojną o około 40% niższa od przeciętnej ogólnoswiatowej, pomimo iż wliczono do niej miliardową masę Chińczyków, Hindusów i wszystkie ludy Afryki i Oceanii. Czy w tym oświetleniu można było mówić o przeinwestowaniu polskiego włókiennictwa? Toteż już przy stosunkowo nieznacznym podciągnięciu konsumpcji przeciętnej w Polsce do normy wielkopolskiej, zmuszałoby

nasze włókiennictwo do zwiększenia ilości wrzecion i krosien mechanicznych przynajmniej o 50%.

Jeżeli więc już przed wojną staliśmy wobec problemu rozbudowy włókiennictwa, to cóż dopiero teraz, kiedy w okręgu łódzkim zostało ono częściowo ewakuowane, a częściowo przekształcone na wojenny przemysł metalowy i kiedy w okręgu warszawskim, za wyjątkiem Żyrardowa, zostało zupełnie zniszczone. Niemniej ucierpiało ono w okręgu białostockim i bielsko-bialskim. Toteż przemysł ten musi być w wielu wypadkach budowany od podstaw i tutaj przed Wielkopolską otwierają się nowe wielkie możliwości niepowtarzalne.

Wprawdzie różnorodne korzyści, wypływające z aglomeracji przemysłu i jego ciężenia historycznego skłaniać będą do ponownej koncentracji włókiennictwa w dawnych okręgach, ale niewątpliwie tendencjom takim należałoby się przeciwstawić i raczej dążyć do jego dekoncentracji.

Dla stworzenia u siebie przemysłu włókienniczego Wielkopolska posiada zasadniczo znacznie lepsze warunki naturalne i gospodarcze, aniżeli okręg łódzki lub białostocki. Przede wszystkim więc posiada lepszą wodę, co ma pierwszorzędne znaczenie produkcyjne; ma własną bazę energetyczną, co w wypadku pełnej elektryfikacji rozwiązałoby wiele trudności technicznych; ma lepiej rozwiniętą i znacznie dogodniejszą sieć komunikacyjną; ma bliżej do źródeł importowanego surowca, który ponadto mógłby tu docierać tańszymi drogami wodnymi, ma pojemniejszy własny rynek zbytu i ma wreszcie lepszy aparat handlowy i kredytowy. Ten ostatni czynnik stanowił przed wojną wielki plus dla okręgu łódzkiego, gdzie właściciele fabryk, przeważnie Żydzi i Niemcy, mieli za granicą oddawna wyrobione stosunki handlowe i kredytowe, z których szeroko i umiejętnie korzystali, a co między innymi pozwoliło im po pierwszej wojnie światowej na szybką odbudowę łódzkiego włókiennictwa.

Obecnie większość tych ustosunkowanych ludzi nie żyje, toteż Łódź i w tej dziedzinie przestanie korzystać z wyrobionych stosunków i w pewnym sensie będzie musiała rozpocząć od początku.

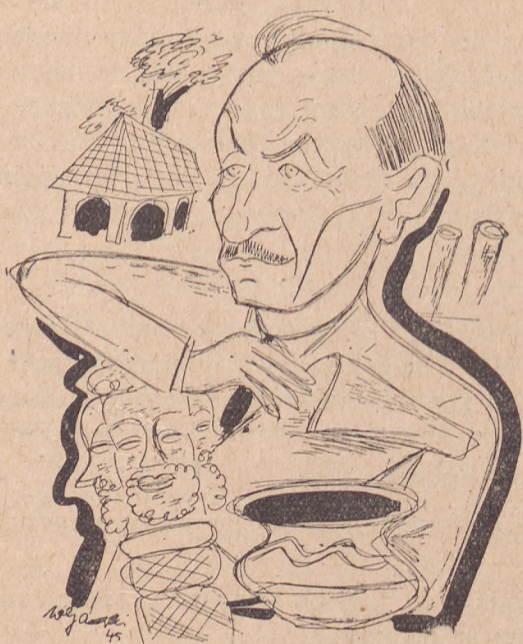
O tym, jak wielką rolę mógłby odegrać przemysł włókienniczy w przeobrażeniu struktury gospodarczej Wielkopolski, a w pierwszym rzędzie samego miasta Poznania, najlepiej świadczą rozmiary konsumpcji artykułów włókienniczych, które znów możnaby przyjąć za podstawę do planowania rozmiarów mającego powstać przemysłu.

Otóż miejscowy rynek Wielkopolski i sąsiednich powiatów Pomorza będzie mógł wchłaniać rocznie około 16 tysięcy ton wyrobów bawełnianych i lnianych i około 8 tysięcy ton wyrobów wełnianych. Do wyprodukowania tej ilości trzeba by zainstalować około 400 tysięcy wrzecion

bawełnianych i lnianych i około 200 tysięcy wrzecion wełnianych, co przy pełnym uruchomieniu dawałoby w nowych kilkudziesięciu fabrykach włókienniczych zatrudnienie dla około 35 000 robotników. Biorąc pod uwagę oddziaływanie tych fabryk na stan zatrudnienia w innych gałęziach przemysłu, handlu i rzemiosła, jak np. w przemyśle odzieżowym, bieliźniarskim, kartonazowym, szpulkarskim, barwnikarskim itp., liczbę tę możnaby śmiało podwyższyć do 40 000, co już samo to zwiększałoby dotychczasową ilość robotników przemysłu przetwórczego Wielkopolski o około 70%.

Kończąc te szkicowe, luźne uwagi o możliwościach i kierunkach przebudowy struktury gospodarczej Wielkopolski, jestem głęboko przekonany, iż w ramach ogólnopolskiego planu odbudowy naszego gospodarstwa narodowego są one realne i możliwe do urzeczywistnienia, gdyż:

1. wynikają z istotnej potrzeby Wielkopolski,
2. byłyby oparte na zdrowych podstawach surowcowych, rynkowych i demograficznych,
3. odpowiadałyby powszechnym i ze wszech miar pożądanym tendencjom dekoncentracyjnym w przemyśle,
4. stwarzałyby harmonijny obraz równomiernego rozwoju wszystkich gałęzi gospodarstwa społecznego Wielkopolski, bez uszczerbku dla innych okręgów w państwie i z wyraźną dla całości gospodarstwa narodowego Polski korzyścią,
5. zapewniałyby Wielkopolsce trwały rozwój na przyszłość, dając jej mieszkańcom dobrobyt, a Polsce na zachodzie bastion, który, im silniejszy gospodarczo, tym odporniejszy będzie na wszelkie możliwe ataki z zewnątrz.



PROFESOR DR JÓZEF KOSTRZEWSKI

Dr Józef Kostrzewski
profesor Uniwersytetu Poznańskiego.

TŁO PREHISTORYCZNE W „STAREJ BAŚNI” J. I. KRASZEWSKIEGO

Kiedy Kraszewski pisał swoją powieść z IX w., zapoczątkowującą cykl opowiadań z dziejów Polski, nauka o pradziejach była jeszcze w powijkach. Sam autor „Starej Baśni” poważnie interesował się archeologią przedhistoryczną, o czym świadczy nie tylko jego projekt słownika archeologicznego, wydrukowanego w r. 1875, i jego udział w międzynarodowym kongresie prehistorycznym w Bolonii w r. 1871, ale przede wszystkim jego dzieło „Sztuka u Słowian”, Wilno 1860, będące pierwszą próbą przedstawienia całokształtu pradziejów ziem słowiańskich. Do napisania powieści z okresu wczesnohistorycznego, o którym więcej mogą nam powiedzieć wykopaliska niż źródła pisane, był on więc lepiej przygotowany, niż ktokolwiek inny w ówczesnej Polsce. Jeżeli zatem w „Starej Baśni” znajdują się pewne anachronizmy czy inne omyłki, które łatwo wykazać ze stanowiska dzisiejszej wiedzy, to nie uchybia to w niczym autorowi i nie umniejsza wartości artystycznej utworu, bo braki te są przeważnie wynikiem ówczesnego stanu wiadomości o naszych pradziejach.

Charakterystyka budownictwa Polan jest na ogół poprawna, chociaż oparta raczej na intuicji, bo z badań wykopaliskowych jeszcze wówczas domów z IX w. nie znano. Oto jak Kraszewski opisuje dom Wisza: „Chata w zrąb na mech budowana — stara pośrodku się wznosiła nad inne szopy — drzwi do niej wiodły z progiem wysokim, ale obyczajem starym bez zamka żadnego, bo ich nigdy nie zawierano. Z sieni w lewo była izba wielka. Tok w niej ubity gładko posypany był zielem świeżym, w głębi ognisko z kamieni stało, na którym ogień nigdy nie gasnął. Dym się z niego dobywał przez nieszczelny dach ku górze” (str. 189). Otóż domy prapolskie odkryte w Poznaniu, Gnieźnie, Kłecku, Santoku, czy Opolu są istotnie budowane na zrąb, w Poznaniu stwierdzono ponadto próg wysoki, utworzony przez czwartą belkę ściany, licząc od dołu, a ogniska kamienne są typowe dla wszystkich niemal domostw wczesnohistorycznych w Polsce. Tak samo trafnie odgadł Kraszewski, że budynki gospodarcze miały ściany „z chrustu plecione a gliną tylko pooblepiane” (str. 200), bo takie budowle gospodarcze z ścianami plecionymi odkryto istotnie w osadach prapolskich w Santoku, Gnieźnie i Kłecku. Dane archeologiczne potwierdzają też istnienie u nas osad palowych, budowanych „u brzegu na palach, wbitych niegdyś w jezioro” (str. 135), jakie Kraszewski opisuje na jeziorze lednickim. Natomiast nie odkryto dotąd w Wielkopolsce z czasu, w którym toczy się akcja „Starej Baśni”, domów o charakterze tzw. ziemianek, „jak bobrowe chatki, na pół w ziemi, pół nad nią” (str. 64). Tak samo nie mamy dotąd dowodu bielienia ścian u Polan, ale dane językowe, mianowicie pierwotne znaczenie wyrazu wap — farba, z czego powstał wyraz wapno wskazuje, że wapna używano początkowo głównie do bielienia, że zatem domy prapolskie mogły mieć, jak pisze Kraszewski, „ściany bielone” (str. 66). Badania wykopaliskowe potwierdziły też przypuszczenie Kraszewskiego, że w domach prapolskich istniało „podsienie długie na drewnianych słupach oparte” (str. 44) i że ogniska znajdowały się w pośrodku izby (str. 66), bo starsze domy prapolskie z VII—X w. miały istotnie otwarte ognisko w środku pomieszczenia mieszkalnego, a dopiero później przeniosło się ono w jeden róg domu i zamieniło się w piec.

Zawiodła natomiast Kraszewskiego intuicja, gdy Popielowi kazał zamieszkać w Kruszwicy w wieży z „szarych kamieni” (str. 44), którą gdzie indziej nazywa ogromną wieżą wzniesioną... w prastarych czasach... „z grubego muru na skale” (str. 160). Z tych sprzeczności (tu mowa o kamieniach, tam o murze) oraz ze wzmianki o skale (!) w Kruszwicy zdaje się wynikać, że Kraszewski w chwili pisania powieści nie znał z autopsji wieży kruszwickiej, która zresztą w IX w.

1) Numery stronicy przytaczam według wydania łódzkiego A. F. Mittlera, zaopatrzonego wstępem Jana Stera (bez roku wydania), bo innego nie mam pod ręką.

w ogóle jeszcze nie istniała, bo pochodzi dopiero z XIV w., stanowiąc resztę zamku kruszwickiego, zniszczonego w czasie najazdu Szwedów w r. 1656. Tak samo opisując gród Miłosza, poszedł Kraszewski w opisie wałów za panującym wówczas powszechnie poglądem, jakoby wały otaczające grody sypane były z ziemi (str. 71), gdy rozkopywania systematyczne wykazały, że były to pionowe budowle drewniane, wypełniane jedynie ziemią ubitą.

W kilku miejscach powieści opisuje Kraszewski ubiór i ozdoby stroju. Stary Wisz był „cały w bieli” i miał „odzież z płótna grubego”. Koszulę na wierzch włożoną i do kolan spadającą obejmował pas czerny. „Miał on długą do pasa brodę i nogi bose” (str. 11). W opisie ubioru męskiego widocznie wzorował się Kraszewski na sukmanie krakowskiej, chociaż i w Wielkopolsce południowej noszono jeszcze w początku XX wieku (w okolicy Masanowa, w pow. ostrowskim) białe sukmany płóciennie-wełniane. Pas był ważnym składnikiem ubioru męskiego, natomiast brody Polanie nie zapuszczali, lecz golili zarost, (por. monetę portretową Chrobrego), a księżę śląski Henryk dla tego nazwany został Brodatym, bo stanowił wyraźny wyjątek wśród swego otoczenia. Wzmianka o bosych nogach mogłaby nasuwać przypuszczenie, że Polanie nie znali obuwia, tymczasem wykopaliska z Gniezna i Wołynia (u ujścia Odry) wyraźnie wskazują, że w okresie wczesnohistorycznym noszono kilka odmian doskonale szytego obuwia skórzanego. Charakteryzując strój Mili, córki zduna, pisze Kraszewski, że miała ona „srebrne pierścionki na wszystkich palcach, niektóre z oczkami, pod szyją miała guz ogromny złocisty, we włosach szpilki, kolie w uszach, kolie na rękach, wianek na głowie” (str. 208). Srebrne i brązowe pierścionki, częściowo z oczkami, są częstym zjawiskiem w wykopaliskach X i XI w., rzadziej występują kolczyki, natomiast wzmianka o bransoletach i o guzach noszonych na szyi nie znajduje potwierdzenia w wykopaliskach, a szpilek do włosów w ogóle w całej epoce przedhistorycznej nie używano. Na innym miejscu wymienia nam autor „igły długie do spinania chust misternie się zamykające” (str. 15). Najwidoczniej ma tu na myśli zapinki (fibule), używane od środkowego okresu epoki brązowej aż do późnego okresu rzymskiego, ale z okresu wczesnohistorycznego, w którym rozgrywa się akcja „Starej Baśni”, ozdoby tej zupełnie u nas nie używano. Dalsze nieporozumienia zawiera opis ozdób, sprzedawanych Polanom przez kupca niemieckiego Hengę (str. 16). I tutaj Kraszewski opisuje częściowo zabytki znacznie starsze, od kilkunastu wieków nie używane w Wielkopolsce („kolie kruszcowe, które na rękach noszono”, m. i. „takie, co wężem rękę niewieścią aż do łokcia opasać mogły”, „drugie dla mężczyzn przeznaczone, mocniejsze”). Inne zaś ozdoby także wspomniane (np. „naszyjniki

bogate, obwieszane blaszkami, kółkami i dzwoneczkami") znamy wprawdzie z okresu wczesnohistorycznego, ale noszono je nie nad Wartą i Gopłem, lecz na ziemiach litewsko-łotewskich.

Najpoważniejsze jednak pomyłki wydarzyły się Kraszewskiemu przy opisie uzbrojenia prapolskiego. Widocznie dla lepszego przeciwstawienia prymitywnej, tradycyjnej kultury wojów polskich niemieckiemu rycerstwu z zachodu nie waha się Kraszewski przypisywać Polanom w IX w. po Chr. broni kamiennej i taką przemowę kładzie w usta Wiszowi: „My też mamy go (tzn. kruszec) od morza i od łądu, z różnych stron przywożony... przecież dzieci uczymy kamień szanować, bo go pierwsi bogowie pokazali, jak obrabiać, ojcom naszym. I każdemu do grobu wkładamy młot — siekierę bożą, kamienną, aby się u swoich bogów nią wyświadczył, kim jest i skąd idzie. Inaczejby go nie poznali. A będzie tak na wiek wieków i u wnuków naszych... Gdyby nie kamień, nie byłoby człowieka i życia. Z kamienia powstał człowiek i kamieniem żył. Z niego wyszedł ogień pierwszy, żyto kamień stał na mąkę i błogostawiony jest. Wasz kruszec zjada woda i ziemia i powietrze, a kamienia nieśmiertelnego nic nie pożre” (str. 21). Bardzo to pięknie powiedziane, ale niestety w domach Polan nigdy nie leżały „na półce, rzędem młoty i siekiery kamienne, poprawiane w drzewo i przewiązane mocno” (tamże), bo broń kamienna wyszła w Wielkopolsce z użycia już około 1800 r. przed Chr., a więc na jakieś dwadzieścia siedem wieków przed czasem, w którym rozgrywa się akcja „Starej Baśni”. Na innym miejscu (str. 241) Kraszewski, mówiąc o „lichym” uzbrojeniu Polan opisuje je następująco: „żelaznego oręża mieli mało, miedziana stara broń u niewielu się znajdowała; szła czeladź uzbrojona w młoty kamienne i obuchy, pałki nasiekiwane, łuki, proce i pociski. Kawał łubu lipowego stał za zbroję, a ozdobną zwała się tarcz, gdy ją kto skórą jedną lub dwiema obciągnął. Siekiery i noże, na jakie kogo stało, wiązano do pasa i do konia. Czeladź i parobkowie pieszo szli, co przedniejsza drużyna i kmiecie jednak konno, na głowach dla osłony mając albo kruszcowy kabłąk (!), które od uderzenia mieczem ochraniały”. W ustępie tym znalazł swój wyraz pogląd Kraszewskiego, że epoka brązowa słabo się tylko w Polsce rozwinęła, co jest trafne jedynie w odniesieniu do lepiej znanych naszemu pisarzowi ziem wschodnich, ale nie dla Wielkopolski i w ogóle Polski zachodniej a także środkowej. Wskutek tego przyjmuje Kraszewski, że długo trwająca u nas kultura kamienna zetknęła się tu bezpośrednio z kulturą żelazną (por. „Sztuka u Słowian” str. 54) i nawet rycerstwu niemieckiemu z IX w. każe używać obok „dzid okutych żelazem” „kamiennych młotów i obuchów” (str. 299), a równocześnie wśród towarów sprzedawanych Polanom przez kupca niemieckiego Hengo wymienia brązowy „mieczyk błyszczący, wykrojony jak liść kosaćca, u pięści piękną rękojeścią

opatrzony" (str. 16), a więc typ, jaki już przed piętnastu wiekami wyszedł z użycia. Błędne przekonanie o przeznaczeniu pewnych ozdób brązowych do ochrony ciała w walce wypowiada Kraszewski jeszcze w dwóch innych miejscach, a więc wśród towarów kupca niemieckiego znajdują się m. i. „naszyjniki... gładkie, które szyi od pocisku i strzały mogły bronić" (str. 15), a jeden z sześciu wojewodów Piastuna, Ścibor, nosi „na szyi obręcze miedziane (!) dawne, które do obrony służyły" (str. 306). I te ozdoby zresztą są w istocie o kilkanaście wieków starsze niż akcja naszej powieści.

Opisując żniwa (str. 177), Kraszewski ponownie staje na stanowisku równoczesnego używania w w. IX sierpów kamiennych, miedzianych i żelaznych, jakkolwiek sierpów z kamienia i miedzi w ogóle nie znamy (są tylko brązowe), a w omawianym okresie narzędzi kamiennych i brązowych oczywiście od dawna nie używano. Jednakże podobne mylne poglądy wyznawali współcześnie także prehistorycy niemieccy, jak Kostmann i Lindenschmitt, nie chcący również uznać istnienia w Europie środkowej i północnej osobnej epoki brązowej. Pełno anachronizmów jest również w opisie wnętrza chaty zduna Wisza, gdzie stały na półkach „dzbany, krużki, czasem i misy, miseczki drobne i gąski a ptaszki gliniane a kubki dla zabawy dzieci a wszystko to, począwszy od czarnych aż do malowanych żółto i biało" (str. 200). Na niektórych naczyniach „urabiał Mirsz twarz niby ludzką, przy czym wkładał „w oczy sztuki bursztynu, a w uszy kolie kruszcowe". „Jak praojcowie zwykli byli na dnie garnków kłaść święty znak ognia (swastykę) i on też nigdy nie omieszkiwał, bo go z innych krajów jeszcze przynieśli zdunowie przed wieki" (str. 201). W tym opisie połączył Kraszewski ceramikę aż trzech różnych okresów i kultur. Gliniane figurki ptaszków i naczynia malowane są typowe dla prasłowiańskiej kultury z wazowego okresu żelaznego (od 700—400 przed Chr.), urny twarzowe charakteryzują kulturę pomorską z czasu między 550 a 400 przed Chr., a jedynie naczynia ze znakami garncarskimi na dnie (m. i. w kształcie swastyki) są wyrobem zdunów prapolskich, ale znaki te wchodzi w użycie dopiero od połowy X w. po Chr., czyli nieco później niż czas akcji omawianej powieści. Natomiast trafne jest na ogół to, co Kraszewski mówi o wyrobie naczyń na kole garncarskim i o wypalaniu ich w piecach garncarskich (str. 200). Także w opisie pogrzebu Wisza (str. 89) Kraszewski opisując niedaleko od stosu ustawione „popielnice, garnki, miski i drobne gliniane naczynia, w którym popioły i ofiara obietna mieścić się miała: chleby, kołaczki, mięsiwa, piwo i miód, na tryznę przygotowane, ma najwidoczniej przed oczyma obrzęd pogrzebowy prasłowiański z młodszej epoki brązowej lub początku epoki żelaznej, a więc z czasów wyprzedzających o kilkanaście do dwudziestu wieków epokę naszej powieści.

Podobne anachronizmy spotykamy też w ustępach, odnoszących się do stosunków handlowych Polan z innymi ludźmi. A więc w ubogiej chacie Piastuna „wszystko było jeszcze podług starodawnego obyczaju, z drzewa i gliny, sprzęt odwieczny, nie z tych obcych błyskotek, które obficie już naówczas przywozili kupcy z za morza i zachodu, ani bożków rzymskich (!) i etruskich (!!), ani wytwornego oręza, który Chrobaci (!) nasyłali, ani kruszcowych wisiałeł, naczyń i broni, na bursztyny i futra mienianych” (str. 189). To już jedno z grubszych nieporozumień Kraszewskiego, trudne do wytłumaczenia nawet przy ówczesnym stanie badań archeologicznych, bo wiedział chyba, że państwo rzymskie już od 476 r. nie istniało, a w IX w. po Chr. Rzym był od wieków stolicą papieżstwa, wobec czego nie było komu wtedy fabrykować bożków, a mowa o bożkach etruskich w tym czasie jest jeszcze gorszym „lapsus calami”, skoro Etruria już na kilka wieków przed Chr. była kolonią rzymską i zatraciła swoistą kulturę. Ten sam charakter mają wzmianki autora o pieniądzech kursujących w Wielkopolsce w IX w. „Znano już naówczas u Polan pieniądze, choć ich nie robiono. Z dawna przywozili je i przynosili ci, co po bursztyn przyptywali i przychodzili... rzymskie, greckie i arabskie pieniążki krążyły między ludźmi, z Winety je też tu przywożono” (str. 204). W rzeczywistości pewnych wykopalisk pieniędzy greckich w ogóle dotąd w Wielkopolsce nie znamy, zresztą przestano je wybijać już przed nar. Chr., po podbiciu Grecji przez Rzymian. Monety rzymskie, przywożone do Polski masowo głównie w II w. po Chr., na ogół już dawno wyszły u nas z użycia, a tylko odosobnione okazy spotykamy w skarbach monet z X i XI w. widocznie znalezione wówczas przypadkowo w ziemi, bo o dowożeniu ich z Wołynia (Winety) czy skądinąd nie może być mowy. Jeszcze jedną wzmiankę o handlu spotykamy na str. 243, gdzie Kraszewski pisze o Pomorcach, „wojownikach razem i przekupniach”, którzy „w Winedzie mieniali swoje skóry i bursztyny na żelazo, na miecze, sukna i towary, idące z południa, wschodu i zachodu” (243). Ale podana na tym miejscu charakterystyka Pomorzan, którzy „choć mowę mieli słowiańską, ale serce już niemieckie (!)”, jest niesłusznie krzywdząca i zupełnie niezrozumiała, skoro w IX w. Słowianie sięgali jeszcze aż do okolicy Hamburga i Kilonii i jakichkolwiek wpływów niemieckich nie tylko na Pomorzu, ale nawet między Odrą a Łabą doszukać się wówczas nie podobna. Jakoś nadmorska nasza dzielnica nie miała szczęścia u pisarzy polskich. Wincenty Pol nie uwzględnił jej w „Pieśni o ziemi naszej”, chociaż gdzie indziej pisał o słowiańskich śladach na Rugli, Oskar Kolberg, który opisał zwyczaje, pieśni i podania ludowe z całej Polski, pominął Pomorze, a Kraszewski w „Starej Baśni” wprost znieśliwił dawnych Pomorzan, zarzucając im, że „byle łupu dostać,



WIDOK CZĘŚCI RUIN Z X WIEKU W LEDNICY,
W POWIECIE GNIEZNIŃSKIM

Kraszewskiemu pewne nieścistości, bo mogły obłożone kamieniami znany tylko z Pomorza i Mazowsza, a o jakiejś ciągłości użytkowania cmentarzysk u nas od epoki kamiennej, z której pochodzą owe „kamienne izby z siedzącymi ciałami”, aż do zarania dziejów oczywiście mowy być nie może.

Ale pomimo niejednokrotnego odchylenia się autora w kreśleniu życia i kultury Polan wczesnohistorycznych od faktów ustalonych przez badania naukowe, utwór Kraszewskiego dzięki prawdzie artystycznej pozostanie nadal jedną z pereł naszej beletrystyki i po dawnemu będzie znajdował entuzjastycznych czytelników. Sam uważam się za wielkiego służnika Kraszewskiego, bo lektura „Starej Baśni” oraz bliskie sąsiedztwo Lednicy, gdzie rozgrywa się część akcji powieści, wzbudziły we mnie pierwsze zainteresowanie się przeszłością przedhistoryczną naszego narodu.

gotowi byli iść na swoich, służyć każdemu, palić i zabijać braci rodzonych. Chciwość ich ciągnęła i zwierzęca dzikość” (str. 243). Nawet Gall Anonim, żyjący w czasie zaciętych walk Bolesława Krzywoustego z Pomorzanami, umiał się zdobyć na sprawiedliwszy sąd o ówczesnych przeciwnikach uwielbianego władcy. Na szczęście obecne pokolenie inaczej się ustosunkowuje do Pomorza i jego ludności, która w niesłychanie trudnych warunkach uratowała Polsce dostęp do Bałtyku. Wreszcie wspomnieć jeszcze należy o zawartym w powieści opisie żalnika, tj. cmentarza Polan. „W środku jego otoczona kamieniami była mogiła Koszyczka i dziadów i pradziadów jego, będą się od widków chowali, od tych czasów, gdy jeszcze w kamiennych izbach siedzące ciała składano aż do obecnych, gdy spaliwszy w popielnicach je i studzienkach chować zaczęto” (str. 199). I tutaj można wytknąć

WSPOMNIENIE O ARCHIWACH WIELKOPOLSKICH

Byłem jeszcze studentem, gdy w ostatnim roku minionego wieku przyjechałem do Poznania dla zebrania materiałów do życiorysu Jana Henryka Dąbrowskiego. Żyła wtedy jeszcze córka twórcy legionów, chociaż od dawna złożona niemocą i prawie zupełnie ogłuchła, tak że ani widzieć się z nią ani porozumiewać już nie było można. Rodzinne archiwum znajdowało się w Winnogórze, gdzie w osobnej kaplicy spoczywały zabalsamowane zwłoki generała. Henryk Mańkowski opowiadał mi, że przy restauracji sarkofagu oglądał je utrzymujące się w nietkniętym stanie, jak i pałasz razem złożony. Były one wówczas celem patriotycznych pielgrzymek z Poznania. Zachowane w Winnogórze papiery dotyczyły jedynie wczesnych lat służby wojskowej Dąbrowskiego w kawalerii saskiej, jego rodziny z pierwszego małżeństwa i spraw majątkowych w związku z objęciem donacji przyznanej mu przez cesarza (tak jak współcześnie generałowi Zajączkowi i księciu Poniatowskiemu). Z tej spuścizny rękopiśmiennej mogłem czerpać bez żadnych ograniczeń, gdyż wtedy przewieziono ją do Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, gdzie robiłem wyciągi także z kancelarii polowej generała Amilkara Kosińskiego. Papiery winnogórskie zostały następnie ofiarowane Akademii Umiejętności w Krakowie i zapewne ocalały. Zresztą zostały przeważnie wydrukowane w IV tomie Monografii w zakresie dziejów nowożytnych, które wydawał prof. Szymon Askenazy. Część odnosząca się do drugiego związku małżeńskiego i schyłku życia Dąbrowskiego czeka jeszcze na opracowanie, przesłana przed wybuchem ostatniej wojny do Lwowa. Winnogórę odwiedzałem w dwadzieścia lat później, osiadłszy w Poznaniu. Teraz, jak słyszałem od doc. dra Karola Górskiego, pamiątki tam przechowane zostały rozproszone. Nie wiem, jaki będzie los dworu. Nie jest to dom z czasów Dąbrowskiego, bo uległ przebudowie. — W tamtych stronach leżący dwór z XVI stulecia w Koszutach odwiedziłem w r. 1919, gdy tam mieszkał jeszcze wnuk Amilkara Witold Kosiński, ostatni z tej linii. Przeglądałem tam wówczas papiery rodzinne, które następnie, po objęciu majątności przez Rekowskich, miały dostać się poznańskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk i dzieliły losy jego zbiorów.

W następnych latach w poszukiwaniach archiwalnych docierałem do różnych sanktuariów rodzinnych, spotykając się zawsze z serdeczną gościnnością i ze zrozumieniem wartości pamiątek przeszłości, z religijnym niekiedy ich poszanowaniem. Tak było w Niegolewie, od z górą pół tysiąca lat, siedzibie Niegolewskich, gdzie wznosił się pomnik ku czci

bohaterów szarzy przez wąwóz Samosierry. Co się odnosiło do tego epizodu naszych dziejów wojennych, zdołałem ogłosić, a także naszkicować sylwetkę pułkownika Andrzeja Niegolewskiego w „Życiorysach zasłużonych Polaków”. Niestety dokumenty działalności Władysława Niegolewskiego przepadły wśród ostatniej zawieruchy. Nie wątpię nam jednak, że piękna tradycja obywatelska Niegolewskich ostoi się i bez tych pamiątek, jak dotąd przechodziła z pokolenia w pokolenie.

Nie znałem archiwów Mielżyńskich, których skatalogowaniem zajmował się kustosz z góry Przemysława Adam Kaletka, ale przeglądałem bogate materiały, zwłaszcza do dziejów gospodarstwa krajowego Mycielskich w Poniecu. Interesowała mnie raczej historia wojenna. W „Życiorysach zasłużonych Polaków” dr Janusz Staszewski nakreślił sylwetkę generała Michała Mycielskiego z r. 1831, ja przypomniałem Erazma, spiskowca z doby insurekcji kościuszkowskiej i porozbiorowej.

Z Objezierza (pamiętnego pobytem Mickiewicza) wydobyte zostały pamiętniki Adama i Karola Turnów. Pierwszy z nich był oficerem w pułku szwoleżerów gwardii Napoleona, drugi po zakończeniu epopei cesarza Francuzów adiutantem W. Ks. Konstantego, a po wybuchu powstania listopadowego jednym z najzdolniejszych organizatorów naszej kawalerii.

Z Kwilcza można było ogłosić pamiętnik damy polskiej (Wirydianny z Radolińskich) o Kościuszcze i tegoż korespondencję ze swym ukochanym Fiszerkiem, adiutantem z doby insurekcji 1794 r.

Kiedy zacząłem przygotowywać wydanie spuścizny politycznej i literackiej po Józefie Wybickim, znalazłem cenne przyczynki w Rogalinie Raczyńskich, a bardzo bogate źródło jego akt i korespondencji od czasu gdy był zajęty układaniem słynnego projektu kodeksu Andrzeja Zamoyskiego, z doby legionowej, Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego w Sarbinowie. Majętność tę nabył syn Józefa Wybickiego po sprzedaży Manieczek, gdzie twórca pieśni „Jeszcze Polska nie umarła” gospodarzył, opuściwszy rodzinne strony Pomorza po pierwszym rozbiorze, ale gdzie pozostała po nim pamiątka tylko w kaplicy, na której napis „Deo meo” jak i ornamentyka wnętrza świadczą o przynależności do wolnomularstwa. Dokumenty historyczne, gromadzone przez Wybickiego z ogromną starannością od początku jego zawodu publicznego, od czasów Konfederacji Barskiej, wnuk dr Rożnowski, przenosząc się do Berlina, zabrał tylko częściowo. Reszta aż do jesieni roku 1939 utrzymała się w starym dworze sarbinowskim pod pieczęcią Czartoryskich, rodziny zasłużonego w walce z prusactwem Zygmunta.

Z dawnego archiwum rydzynskiego zaczerpnąłem materiał do szkicu o przedhistorycznych latach Antoniego Madalińskiego, który następnie porzuciwszy gospodarkę w dzierżawionych dobrach ordynackich, objął

komendę nad pierwszą brygadą kawalerii narodowej i na jej czele pierwszy rozwinął sztandar insurekcji wiosną 1794 roku. Z tegoż źródła pochodzą dokumenty rozświetlające „Rodowód Józefa Sułkowskiego”, adiutanta Napoleona, poległego w Egipcie, którego nazwisko widnieje na łuku tryumfalnym, jaki wzniesiony został na placu Gwiazdzystym w Paryżu. Stamtąd dr Jan Baumgart zgromadził ogromną kolekcję odpisów dokumentów tak do swej pracy doktorskiej jak następnych mających dać nam historię „Braci Sułkowskich”, którzy odgrywali znaczną rolę u schyłku Rzeczypospolitej, zaś Antoni Paweł objął komendę nad wojskiem polskim po zgonie księcia Józefa, a potem patronował z Rydzyny przedsięwzięciom kulturalnym i przewodniczył sejmom prowincjonalnym. Niewiadome mi są losy archiwum, w którym nie tylko do dziejów politycznych ale i gospodarczych były materiały niezmiernie obfite.

Ongiś zapoznałem się także z piękną biblioteką Stanisława Mycielskiego w Kobylempolu, która, podobnie jak sama majątność, uległa zniszczeniu od pożaru i grabieży.

Do historii Bazaru Poznańskiego, prócz archiwum, znajdującego się w samym hotelu, posłużyły mi akta z Lubasza (w powiecie czarnkowskim), pozostałe po towarzyszu prac Marcinkowskiego Szuldrzyńskim Józefie, którego życiorys zrodził się niejako na marginesie tamtego wy-dawnictwa.

Kiedy moja uwaga skierowała się ku dobie Aleksandra Wielopolskiego i powstania styczeniowego, wtedy na samym wyjeździe z Poznania z początkiem sierpnia 1939 kopiowałem jeszcze w Antoninku Stablewskich memoriały Juliusza Enocha, który miał być „alter ego” „wielkiego margrabiego”.

Wracając po pięciu i pół latach tułaczki do Poznania ogarnia żal nie tylko na widok gruzów Biblioteki Raczyńskich i popiołów na górze Przemysława, ale i za tymi skarbnicami rodowej i narodowej zarazem historii, zatraconym, zniszczonym nie tylko wrogim losu wojny obrotem, ale pono często także i przez brak zrozumienia ich wartości i znaczenia dla poznania naszych dziejów. Wszak one nie zaczynają się od dziś ani od wczoraj i muszą być pojmowane w swej ciągłości, w chwale i miserii zmiennych kolei. Młodemu pokoleniu historyków o ileż trudniej będzie teraz wskazać tematy i źródła, które by dały możliwość osiągnięcia rezultatów naukowych. Na dziś zadaniem jest zbierać rozproszone szczątki pamiątek i dokumentów przeszłości, ocalić co jeszcze się da, abyśmy w nowy okres życia narodu nie weszli tak niezmiernie zubożeni, jakbyśmy nie mieli za sobą tysiąclecia rozwoju już na podstawach kultury zachodniej.



PROFESOR MICHAŁ SOBESKI

Dr Adam Wiegner
doc. Uniwersytetu Poznańskiego.

WSPOMNIENIA O PROFESORZE MICHALE SOBESKIM

Poznałem go w Krakowie — zdaje się w r. 1910 — gdy brałem udział w seminarium z estetyki, zgłoszonym przez prof. Sobeskiego, wówczas świeżo kreowanego docenta filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ponieważ ja interesowałem się głównie teorią poznania, więc nie zagłębiałem się zbyt w studium estetyki i dlatego nasza znajomość nie zacieśniała się. Prof. Sobeski zrobił wówczas na mnie wrażenie człowieka wysoce kulturalnego i bardzo miłego, zarówno ze względu na widoczne zamiłowanie do filozofii, połączone z głębokim odczuwaniem i znawstwem dzieł sztuki pięknej, jak i powodu nieśmiałości, zrozumiałej u młodego docenta.

Drugi raz spotkałem go przelotnie w r. 1919 lub 1920 w czasie jednej z wycieczek z Trzemeszna, gdzie byłem nauczycielem gimnazjalnym, do Poznania. Zwróciłem wówczas jego uwagę na siebie, gdyż zapowiedziałem kontynuowanie swych studiów filozoficznych i zgłoszenie pracy do druku. Warunki życiowe nie pozwoliły mi szybko realizować mych planów i dlatego też nie przyszło od razu do większego zbliżenia między nami.

Dopiero w r. 1924, gdy złożyłem na ręce prof. Sobeskiego rękopis swej pracy o zagadnieniu poznawczym u Nelsona, rozpoczęły się częstsze spotkania i dłuższe rozmowy. Przekonałem się też niebawem, że śledził z daleka bacznie postęp mej pracy i ucieszył się z jej wykończe-

nia. Wymiana poglądów okazała mi nadto, że znalazłem w nim doskonale rozumiejącego mój rozwój filozoficzny protektora, bo przeszedłem właśnie ewolucję podobną do jego przezwyciężenia psychologizmu w czasie tworzenia rozprawy o metodzie obiektywnej w estetyce. Wówczas też poznałem, że właściwą dziedziną badawczą prof. Sobeskiego była estetyka wraz z teorią sztuki; pracy w tej dziedzinie oddawał się namiętnie przez całe życie i z niej wyrwało go bezlitosne wysiedlenie i w następstwie przedwczesna śmierć.

Nasza znajomość przeszła w zażyłość po r. 1930, gdy prawie regularnie zaczęliśmy spędzać pogodne niedziele na wycieczkach do Ludwikowa i gdy w razie niepogody odwiedzałem go po południu w jego gościnnym mieszkaniu. Podczas tych nieskończonych pogawędek odsłoniła mi się bliżej osobowość profesora, z natury skrytego i nieufnego, które to cechy zresztą przechodziły w swe przeciwieństwo, w otwartą ufność i wierną życzliwość, gdy dłuższa znajomość przekonywała go do człowieka. Wzruszał zaś mnie głęboko i napełniał wdzięcznością fakt, że gdy po r. 1934 zostałem jego adiunktem, gdy więc stałem się służbowo zależnym od niego, prof. Sobeski w niczym nie zmienił swego stosunku do mnie i pozostał nadal wiernym doradcą i przyjacielem, nigdy mi nie dając odczuć, że jest też zwierzchnikiem. Pod tym względem mało znam ludzi, którzy by swój stosunek do bliźnich tak wyłącznie opierali na ocenie wewnętrznej wartości człowieka i dla których by tak mało znaczyły zewnętrzne cechy stanowiska czy wyglądu.

W tym czasie poznałem także jeszcze jedną główną właściwość profesora: jego zdumiewającą pracowitość i niebywałą sumiennosc. Cierpiał głęboko, gdy z powodu osłabionego zdrowia musiał sobie folgować i skracać swoje „pensum” codziennej pracy oraz przedłużać wywczasy wakacyjne. Sam fanatyk pracy, wymagał tego u drugich i z ubolewaniem podnosił, że na ogół Polacy nie są zbyt pracowici. Przygotowywał się do wykładów zwłaszcza z historii filozofii, tj. z dziedziny wprawdzie bardzo przez niego lubianej, ale nie będącej właściwym terenem jego badań, z uderzającą sumiennoscia, i doprawdy szkoda, że mimo nalegań przyjaciół, praca ta nie uzewnętrzniła się drukiem choćby w formie skrótów wykładowych. Pracowitość przyprowadziła do śmiertelnej słabości, bo wyczerpany organizm nie zniósł ciężkiego pobytu w obozie w Głównej i tragicznego transportu do Ostrowca Świętokrzyskiego. Zginął na posterunku, bo wyrwany ze środka pracy korektorskiej książki o sztuce egzotycznej oraz spośród przygotowań do realizacji słownika do estetyki i teorii sztuki. Niezmiernie zasłużył się dla życia kulturalnego Poznania jako jeden z twórców Uniwersytetu Poznańskiego, z którym razem padł pod obuchem odwiecznego i okrutnego wroga polskiego narodu.

Dr Walther Geisler: Landschaftskunde des Warthelandes. Tom. I, Poznań 1941. Str. 114 z 4 mapkami, tom II Poznań 1943. Str. 119 z 8 mapkami i mapą Wielkopolski.

Po zajęciu ziem polskich w roku 1939 Niemcy rozpoczęli od razu żywą działalność badawczą i wydawniczą, aby prawo do swej zdobyczy wojennej uzasadnić naukowo. M. in. z polecenia Artura Greisera utworzono w tym celu w stolicy Wielkopolski instytut krajoznawczy p. t. „Landeskundliche Forschungsstelle des Reichsgaues Wartheland“, którego pierwsze wydawnictwo stanowi właśnie wymieniona w nagłówku praca Waltera Geislera, profesora geografii w niemieckim uniwersytecie poznańskim. Geisler jest jednym z najtypowszych przedstawicieli nowego pokolenia „uczonych“ niemieckich, oddających naukę całkowicie na usługi polityczne. Świadczą o tym nie tylko omawiana tu książka, ale i cała jego działalność wydawnicza¹⁾ i pedagogiczna. Dla niego cały obszar ziem między Karpatami a Bałtykiem jest przestrzenią życiową narodu niemieckiego, przyznaną mu przez Opatrzność (str. 7) i dlatego „każdego, myślącego Niemca“ tak bolało, że na tej „niemieckiej“ przestrzeni życiowej hasały („tummelten“) obce narody państwowe, gdy miliony Niemców musiały (?) żyć jako mniejszości wśród obcych narodów w obcych państwach. „Wskutek silnego nacisku Słowian na Niemcy“ państwo polskie czasowo wcisnęło się na obszarze Wielkopolski głęboko w niemiecką przestrzeń życiową i w ten sposób obciążyło się wielką winą historyczną“ (str. 8). Geisler oczywiście dobrze wie o tym, że państwo polskie nad Wartą i Odrą istniało co najmniej już w połowie X w., a więc w czasie kiedy Niemcy nie sięgały nawet do Łaby i Solawy, że zatem nie Polska wtargnęła w niemiecki obszar

życiowy, lecz odwrotnie Niemcy w XII i XIII w. wskutek swej polityki zaborczej wdarli się przez uzależnienie od siebie Śląska i Pomorza nadodrzańskie głęboko w przestrzeń życiową polską, okrażając Polskę od południa i północy. Zamiast imaginowanej winy historycznej polskiej mamy więc kłamstwo historyczne niemieckiego profesora, który usiłuje napastnika przedstawić jako ofiarę napaści. Do swego równie przewartnego jak śmiesznego twierdzenia doszedł Geisler widocznie na podstawie pospolitego w Niemczech „choć urągającego prawdzie i metodzie naukowej poglądu, utożsamiającego przedhistorycznych Germanów wschodnich po prostu z dzisiejszymi Niemcami. Ponieważ zaś Germanowie włóczyli się, podobnie jak dzisiejsi Cyganie, po całej Europie, mógłby Geisler z równym prawem zgłaszać pretensje nie tylko do Polski, ale do Ukrainy wraz z Krymem, (Ostrogoci), do Francji (Burgundzi, Frankowie), do Hiszpanii (Wizygoci), do Włoch (Ostrogoci i Longobardowie), a nawet do północnej Afryki (Wandale). Geisler sam wprowadzając, że Germanie przedhistoryczni dobrowolnie opuścili nasze ziemie i niewątpliwie zdaje sobie sprawę z tego, że żadne prawo spadkowe nie uznaje pretensji spadkobierców do mienia, które zostało przez przodków dobrowolnie porzucone, ale sądzi on widocznie, że dla Niemców jako narodu wybranego istnieją inne normy. Na dobitkę Niemcy, którzy zjawili się na naszych ziemiach jako obcy przybysze dopiero w w. XIII, nie są absolutnie potomkami plemion skandynawskich, przebywających przejściowo w Polsce w I—III w. po Chr.; mimo to Wielkopolska dla Geislera jest oczywiście prastarym niemieckim obszarem etnicznym („uralter deutscher Volksboden“) (str. 9).

Szowinistyczne zacietrzewienie doprowadza Geislera do dalszych koziółków logicznych. Na str. 10 twierdzi on bowiem, że

¹⁾ por. np. jego broszury: *Deutscher! Der Osten ruft dich!* Berlin 1941, i *Der deutsche Osten als Lebensraum für alle Berufsstände*, Berlin 1942.

krajobraz Wielkopolski wykazuje wyraźne charakterystyczne cechy niemieckie, będące rezultatem pracy cywilizacyjnej długiego szeregu pokoleń niemieckich, i że dopiero w czasach politycznej słabości Niemiec obcy naród wtargnął w ten niemiecki obszar i rozprzestrzenił się w tym niemieckim krajobrazie kulturalnym („deutsche Kulturlandschaft“). W jaki sposób Polacy, żyjący w dorzeczu Warty i Odry co najmniej już w VI w. po Chr., a tym bardziej przodkowie ich Słowiańscy, mieszkający tu od połowy II tysiąclecia przed Chr. mogli wtargnąć do „niemieckiej przestrzeni kulturalnej“, której jeszcze nie było, skoro Niemcy zaczęli napływać do Polski dopiero w XIII w. po Chr., to już jest tajemnicą psychiki autora. Dla Niemców obowiązują widocznie inne zasady logiki, bo na str. 12 Geisler śmiało twierdzi dalej, że Polak był w ziemi nadwarciańskiej zawsze obcy, bo kraj „nosi rysy niemieckie“. W podobny sposób można by łatwo „udowodnić“, że np. ziemia obraca się naokoło księżyca, a cielęta rodzą się na drzewach. W dalszym ciągu dowiadujemy się z książki genialnego geografa, że „Polak był pasożytem w tym kraju, którego nie potrafił rozwinąć kulturalnie“ (str. 13) i że „nie potrwa długo, a z tej ludności polskiej i z jej mizernej działalności nie już nie pozostanie“ i że „będzie to tylko aktem sprawiedliwości dziejowej, jeżeli te słabe ślady polskiej ludności jak najszybciej stąd znikną“ (tamże). Na szczęście Geisler okazał się fałszywym prorokiem, bo właśnie z kulturträgerów niemieckich nie pozostał już żaden ślad w Wielkopolsce, poza grobami pomordowanych przez nich ofiar i gruzami popalonych budynków, stanowiących jedyne ślady ich działalności szumnie określonej jako „deutscher Aufbau im Osten“.

Na str. 99 jeszcze raz Geisler powraca do swego twierdzenia, że dzisiejszy wygląd krajobrazu Wielkopolski jest dziełem Niemców, bo dopiero oni zaczęli karczować puszcze i osiedlać niziny podmokłe. Osadnictwo nizinne jest jednak, jak wiadomo przede wszystkim zasługą holenderskich

Mennonitów, przybyłych w połowie XVI w., a karczowanie lasów rozpoczęła, jak przyznają uczciwsi badacze niemieccy, już w epoce brązowej ludność kultury „Jużyckiej“. O działalności ludności polskiej w tym względzie w okresie wczesnohistorycznym, a więc długo przed przybyciem pierwszych osadników niemieckich, świadczą takie dawne nazwy miejscowe jak Trzebaw, Trzebinia, Karczewo, Zegęże, Zegań, Zdziały, Praga i inne, przy czym ostatnie nazwy są świadectwem tzw. gospodarki żarowej, to znaczy wypalania lasów. W drugim tomiku (str. 6) Geisler po raz trzeci wraca do rzekomych zasług niemieckich w zakresie przemiany krajobrazu naturalnego Wielkopolski na krajobraz kulturalny („Kulturlandschaft“) i powtarza swe twierdzenie, że „Polak był obcym w tym kraju i nie potrafił wycisnąć na nim swego piętna“. Nic był on nigdy niczym więcej jak siłą fizyczną, podczas gdy siła kształtowania pochodziła jedynie od Niemców (str. 10), ale już o kilkanaście stron dalej (str. 30) zmuszony jest przyznać, że piętno wyciśnięte przez Niemców na krajobrazie Wielkopolski jest szpetne, bo niemieckie budowle publiczne jak urzędy pocztowe, dworce, kościoły, magistraty a także domy prywatne, budowane w końcu XIX w. posiadają styl szablonowy, a nawet dzielnice miejskie z tego czasu mają nieraz „charakter odrażający“ („abstossenden Charakter“). Ponownie też wraca Geisler w II tomiku do dziejów przedhistorycznego osadnictwa w Wielkopolsce, przedstawianego w myśl znanych hipotez niemieckich, przy czym zdarza mu się zabawna pomyłka, bo najazd Wandalów, Burgundów i innych szczepów skandynawskich datuje na koniec drugiego tysiąclecia przed Chr., zamiast na drugie stulecie, co w rezultacie daje „drobną“ pomyłkę o jakieś 900 do 1000 lat! Tym imigracjom germańskim ma ludność słowiańska okresu wczesnohistorycznego zawdzięczać swój przeważnie nordyjski charakter antropologiczny, a ponieważ dziś jeszcze wśród mieszkańców Górnego Śląska przeważa typ nordyjski, przyjmuje autor, że odsetek

nordyków w Wielkopolsce, bliższej Skandynawii, będzie chyba jeszcze większy (str. 13). W jaki sposób autor godzi to twierdzenie z dalszymi swymi wywodami (str. 13—16), w których przeciwstawia typ fizyczny i psychiczny Niemców należących do rasy nordyjskiej Polakom, zaliczanym nagle do rasy wschodniobałtyckiej, tego odgadnąć nie próbujemy. Nic dziwi nas już wobec tego, że autor za jedną z najistotniejszych cech charakteru niemieckiego uważa... poczucie sprawiedliwości! (str. 15).

Polskość Wielkopolski jest według Geislera tylko pozorna. W czasie polskiego panowania nad Wielkopolską po pierwszej wojnie światowej usiłowano wprowadzić „przy pomocy zupełnie niedostatecznych środków rozwinąć tu polskość (ein polnisches Volkstum)“, ale siła kultury polskiej na to nie wystarczyła (str. 17). Tak samo już przed rozbiorami próbowano — wbrew poczynionym przyrzeczeniom (!) akcji polonizacyjnej, której wynikiem było zmieszanie się krwi niemieckiej z polską. Spolszczenie wielu Niemców nastąpiło dlatego, ponieważ „Polacy przyjęli po prostu stare niemieckie zwyczaje i rdzennie niemiecką sztukę ludową“ (! str. 17), nie potrafiąc sami wytworzyć nic równowartościowego i dlatego przyciągnęli wielu Niemców. Innym „wyrafinowanym“ sposobem były zmiany nazw osad i nazwisk rodzinnych przeprowadzone przez Polaków tak, że tylko filolog potrafił dziś rozpoznać pod polską powłoką stare nazwy niemieckie (str. 18). Wobec tego z polskich nazw okresu przedwojennego nie można bynajmniej wnioskować o... istnieniu polskiej ludności w Wielkopolsce, bo nawet nazwy o końcówkach — ów, — owo, —in, lub — ice, mogą być pochodzenia germańskiego (str. 23). Geisler locutus, causa finita! W każdym razie wtargnięcie Polaków do kraju nad Wartę jest — według autora — tylko epizodem¹⁾, który został zupełnie zlikwido-

wany i to z punktu widzenia sprawiedliwości dziejowej (str. 19). Polacy zresztą — zdaniem Geislera — nigdy nie byli jednolitym narodem (str. 20), ponieważ Wielkopolanie nie potrafili przezwyciężyć naturalnych przeszkód terenowych, jakie stanowiły bagna Noteci i Baryczy. Na południu mieszkali Małopolanie, różniący się także pod względem językowym bardzo od Wielkopolan, a na północy Kaszubi, mówiący w ogóle odrębnym językiem (str. 20), natomiast Niemcy na obszarze między Bałtykiem a Karpatami tworzą jednolitą całość. Nic przeszkadza to oczywiście autorowi na str. 33 twierdzić, że w północnej Wielkopolsce spotyka się osadników z północnych Niemiec, a na południu i południowym wschodzie Niemców Śląskich, (na str. 21 dla urozmaicenia mówi o Bawarach), mówiących — jak wiadomo — różnymi narzeczami, co znalazło swój wyraz także na mapie Wielkopolski na str. 33, gdzie autor pociągnął granice między dialektem północno i południowo-niemieckim. Ale takich sprzeczności jest mnóstwo w książce, bo gdy ktoś raz zacznie się mijać z prawdą, to musi już łączyć konsekwentnie dalej a nie może się wtedy pomylić. Jednym z najjaskrawszych kłamstw autora jest właśnie jego twierdzenie o wielkim zróżnicowaniu języka polskiego, tymczasem wśród narodów Europy nie ma ludów bardziej jednolitych pod wzgl. językowym niż Polacy i inni Słowianie, gdy natomiast w Niemczech np. Bawarczyk i Meklemburczyk nieznający języka literackiego nie porozumieją się bez pomocy tłumacza, jak to wykazał swego czasu głośny proces hr. Eulenburga. Po tylu próbach „objektywizmu naukowego“ autora możemy śmiało zrezygnować ze szczegółowego rozbioru treści jego publikacji, której i tak za dużo miejsca poświęciliśmy bo nie jest to praca naukowa, lecz zwykła broszura polityczna, świadcząca wymownie o zupełnym upadku nauki niemieckiej w okresie panowania narodo-

¹⁾ Ładny „epizod“ trwający już ponad 1330 lat!

Dr Józef Kostrzewski

Zygmunt Wojciechowski, Polska— Niemcy. Dziesięć wieków zmagania, Prace Instytutu Zachodniego nr 3, Poznań 1945, str. 267; 16 mappek.

Książka prof. U. P., Z. Wojciechowskiego: Polska— Niemcy zawiera dzieje dziesięciu wieków zmagania o utrzymanie macierzystych ziem polskich przed naporem niemieckim. Termin: ziemie macierzyste Polski w przeciwieństwie do nabytych w rozwoju dziejów został wprowadzony do historiografii polskiej przez autora. Oznacza on wszystkie te ziemie, które po burzliwym okresie scalania etnicznych ziem polskich znalazły się koło r. 990 w ręku Mieszka I; obejmują one dorzecze Wisły i Warty i Odry (w górnym biegu rzeki), a więc kolebkę państwowości polskiej Wielkopolskę, Kujawy i Mazowsze aż po Bug, następnie Małopolskę, Śląsk, ziemię lubuską i Pomorze od Odry po Wisłę.

Dziejom powolnej zatraty tych ziem na rzecz żywiołu niemieckiego poświęcona jest niniejsza książka.

W okresie pierwszym dominuje myśl rozszerzania podstawy tych ziem macierzystych w kierunku zachodnim (Bolesław Chrobry, Bolesław Krzywousty) wzgl. do odzyskania mimo chwilowych załamania utraconych pozycji (Kazimierz Wielki). Okres ten jednak przynosi dwa wydarzenia, które nadadzą tragiczny obrót tym zmaganiom: utrata ziemi lubuskiej na rzecz margrabiów brandenburskich i sprowadzenie Zakonu Krzyżackiego na pogranicze Prus. Towarzyszą temu niekorzystne zmiany z punktu widzenia etnicznego i kulturalnego w dzielnicy śląskiej i w sąsiednich Czechach — na przełomie XIV wieku ostatecznie opanowanych przez obcoplemienną dynastię.

Przed niebezpieczeństwem krzyżackim szukają polscy statyści ratunku w sojuszu z Litwą, który wnet przybierze formy unji personalnej, a w dalszym rozwoju wieczyściej. Z Litwą jednak Polska wkroczyła na szlak moskiewski i czarnomorski. Ekspansja w tym kierunku pochłonie wszystkie siły Rzeczypospolitej. W obrębie państwa

dokonywuje się zdecydowane przesunięcie ośrodka państwowości polskiej w kierunku wschodnim. Wielkopolskę zastępuje w przewodnictwie Małopolska, po tym Mazowsze ze względu na centralne położenie wobec Litwy i Rusi.

Odzyskanie części Pomorza i Prus Zachodnich (Prus Królewskich) jest epizodem przemijającym w swoim znaczeniu politycznym, gdyż rychło stanowisko Polski osłabia tutaj Gdańsk, usiłujący prowadzić własną politykę zagraniczną. Na tle rozlicznych powikłań politycznych, instruktywnie ujętych przez prof. W., dokonywuje się powolna emancypacja sekularyzowanych ziem Zakonu Krzyżackiego i nawiązanie łączności personalnej z Brandenburgią. Na tle tej ukrytej i mrówczej pracy tym wydatniej odbija się rozrzutny rozmach polityki polskiej, zastępującej program — improwizacja.

Panowanie saskie w Polsce służy umacnianiu się potęgi pruskiej i dlatego trafnie zostały przez autora nazwane decydującymi przeobrażeniami nad Bałtykiem. W przeobrażeniach tych Polska albo jest nieobecna albo spełnia rolę statysty. Widoczne to jest zwłaszcza w momencie zawłaszczenia Śląska przez Fryderyka Wielkiego. Ustabilizowanie państwa pruskiego po zwycięskiej wojnie siedmioletniej powoduje ocknięcie się dalszych apetytów terytorialnych. Ówczesne społeczeństwo polskie, chowane przez tyle lat w poczuciu braku odpowiedzialności za sprawy państwowe, nie dostrzega zmiany sytuacji i rychło ulega w walce.

Prusy nie są zadowolone z zaborów. Dążą one do wyniszczenia żywiołu polskiego. Sprawa polska staje się zwornikiem sprzecznych interesów mocarstwowych między Rosją a Niemcami w polityce Bismarcka. Bismarck trzyma się tej polityki bez względu na cenę — którą zresztą stara się, żeby zapłaciła Rosja. W chwili wybuchu wojny światowej sprawa polska jest znowu wygrywana przez Niemcy przeciw Rosji, ale już w tym okresie czasu polska myśl polityczna wyraźnie wysuwa koniecz-

ność odzyskania ziem macierzystych Polski na Zachodzie w oparciu o Rosję. Są jednak prądy przeciwne. Te zwalczające się prądy stanowią treść dwudziestolecia naszej niepodległości.

Książka prof. Wojciechowskiego jest podręcznikiem myślenia politycznego w aspekcie historycznym. W tym leży jej wielkie znaczenie wychowawcze, dla nadchodzącego pokolenia w brząsku nowego układu stosunków polityczno-geograficznych, jakże podobnych do czasów Mieszka I i Bolesławów. Książkę tę należy nie tylko czytać, ale trzeba na niej się uczyć zasad działania na przyszłość.

Gerard Labuda

Dr Maria Kielczewska i Dr Andrzej Grodek, „Odra — Nisa, najlepsza granica Polski“, Prace Instytutu Zachodniego nr 1, Poznań-Warszawa 1945, Wyd. Inst. Zach., str. 60, 1 mapa.

„Zadaniem tej publikacji“ — czytamy w słowie wstępnym znanego historyka, propagatora Polski Zachodniej, dziś Dyrektora Instytutu Zachodniego, prof. dra Zygmunta Wojciechowskiego — „jest zwrócić uwagę społeczeństwa polskiego na doniosłość przeżywanej chwili dziejowej: Polska przez wieki spychana ze zrębu swych ziem rdzennych wraca nad Odrę i Nisę... Na tę chwilę czekaliśmy w Polsce od schyłku XII wieku...“

„Bałtyk, linia Odry i Nisy oraz wał górski sudecko-karpacki wyznaczają naturalne granice polskiemu terytorium. Położone w ich obrębie krainy są ze sobą powiązane przez naturę i wzajemnie ku sobie ciążą“. „... Odra, która kiedyś była naturalną linią obronną Polski, stała się kręgosłupem tworu geopolitycznego, zwróconego przeciw Polsce“. Opanowane przez Niemcy bariera ziem nadbałtyckich oraz głęboko wysunięty między ziemie czeskie a polskie klin Śląska stanowiły kleszcze, których zwieranie oznaczać musiało zagładę Polski. „... istnienie kleszczy bałtycko-śląskich, otaczających Polskę, ... zawsze będzie posiadało potencjonalną siłę tworzenia programu zaborczego...“ „Linia Odry i Nisy

rozgranicza terytorium Polski od Niemiec w ten sposób, że wytrąca im podstawy wypadowe na Polskę, jest więc z politycznego punktu widzenia jedną słuszną granicą“.

Pomorze, Ziemia Lubuska i Śląsk, ziemie położone na wschód od granicy linii Odry — Nisy, stanowią część terytorium geograficznego polskiego. Dorzecza Wisły i Odry z jej bogatymi dopływami, zwłaszcza Wartą, splatają się w całość geograficzną, podczas gdy związków takich nie wykazują Odra z Łabą. W parze z ciężeniem naturalnym ziem dorzecza Odry i Wisły szły także ciężenia historyczne i polityczne. Charakter słowiańsko-polski ziem przyodrzańskich nie ulega wątpliwości. Jeszcze w ubiegłym stuleciu Pomorze całe rozbrzmiewało głośno mową słowiańską i polską. Dziś zaznacza się wyraźnie słowiańskość tych ziem w odrębnościach etnicznych. „Ludność jest szczepowo i duchowo pokrewna Polakom, choć dziś mówi po niemiecku... nazwy miejscowości, nazwiska, tradycje rodzinne i tradycje historyczne...“ są słowiańskie i polskie. Na Śląsku główny proces germanizacyjny odbył się w w. XIX., gdyż aż do XVIII w. utrzymuje się przeważający charakter polski Śląska. Wrocław otoczony jest wsiami polskimi i mowa polska w w. XIX nie jest obca temu miastu“. Mała Ziemia Lubuska „stanowi niejako filar, podtrzymujący konstrukcję polityczną całego Nadodrza — musi należeć, łącznie ze Śląskiem i Pomorzem do Polski. Ludność polska ... została przez monarchię Brandenburską wyniszczona, częściowo wycięta w pień...“

W dalszym ciągu autorzy kreślą niezwykle interesujący obraz stosunków demograficznych tych ziem. Oślawiony „Drang nach Osten“ na tle tego obrazu okazuje się wyrazem imperialistycznej zachłanności niemieckiej, krańcowo przeciwnej naturalnemu biegowi życia, notującemu „początek wielkiego odpływu niemieczyzny ze Wschodu“. „Niezwyczajny rozwój przemysłu niemieckiego... zaczął przyciągać do siebie ludność ze wschodu... niemieckiego...“ „Wraz z robotnikami rolnymi odchodzili

również koloniści niemieccy". „Niemiec opuszczał ziemie te na zawsze... szedł do miast, gdzie go czekała lżejsza i lepiej płatna praca w urzędach, handlu i przemyśle. Toteż... ludność polska Poznańskiego i Pomorza rosła przed wojną szybciej, aniżeli niemiecka.“ „Aby zwiększyć ludność niemiecką na wschodzie, przystąpili Niemcy do parcelacji wielkiej własności... i do kolonizacji.“ „Akcja kolonizacyjna zawiodła... nie dlatego, że nie było można zatrzymać... naturalnego procesu, jakim było odchodzenie Niemców na Zachód.“ „Wschód niemiecki wyludniał się, bo Niemcy nie chcieli pracować na roli. Tymczasem Polska... cierpiała na nadmiar ludności, która chciała na roli pracować, ale nie miała możliwości. Wiek polski była przełudniona...“

Analizując ciężenia gospodarcze ziem nadodrzańskich stwierdzają autorzy, iż głównymi rynkami zbytu węgla górnośląskiego były nie ziemie Niemiec środkowych i zachodnich, lecz ziemie nadodrzańskie, Austria i Czechy. Produkcja żelaza i stali w stosunku do produkcji żelaza i stali Niemiec zachodnich stale malała. Dobrobyt i znaczenie Śląska wzrastać mogą jedynie przy orientacji na wschód. Podobnie

port szczeciński pełni swego rozwoju oczekiwac może jedynie, jako port ujściowy dla całego dorzecza Odry, którego kapitałna część już przed wojną leżała w granicach Polski, „Pozostawione w organizmie Rzeszy prowincje wschodnie były wskazane na powolny, ale stały upadek“. „Ich miejsce jest tylko w organizmie polskim“.

Przyłączenie Nadodrza do Polski skróci o prawie 1500 km granice Polski z Niemcami, usunie groźbę „kleszczy“ bałtycko-śląskich, rozszerzy znacznie dostęp do morza, zmieni na korzyść oblicze kulturalne naszego kraju. „...Dzielnice zaniedbane... wycisnęły swoje piętno na całej Polsce... Zagospodarowane Ziemie Zachodnie nadawać będą ton przyszelej Polsce“. „Wreszcie gospodarczo wnosi Nadodrza niejedną wkład cenny...“ Dla Polaków ziemie te będą warsztatem pracy, który daje utrzymanie. „Największe jednak znaczenie powrotu Nadodrza do Polski nie będzie polityczne, ani gospodarcze, ani nawet kulturalne, ale moralne“.

Pierwszą pracę Instytutu Zachodniego należy uważać za ze wszech miar dobrą. Powinna ona być przeczytana przez każdego Polaka, zwłaszcza przez Polaka Ziemi Zachodnich.

(Dr W. Ostrowski)

KRONIKA

Komisja Historyczna jako jedna z pierwszych wśród pozostałych sekcji Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk wznowiła swą działalność. W dniu 16 maja br. odbyło się zebranie organizacyjne, mające za zadanie rejestrację strat, poniesionych przez Komisję przez czas wojny oraz program wznowienia czynności przez urządzenie zebrań dyskusyjnych i druk rozpraw naukowych, opracowanych pod jej nadzorem. Przewodniczącym Komisji został dr Adam Skalkowski, prof. U. P.

Zebrań komisji odbywały się regularnie co drugą środę. Wygłoszono 11 referatów dyskusyjnych na tematy różne. Prof. A. Skalkowski mówił dwukrotnie: o Le-

gendzie Sułkowskiego (19. 9.) i o Archiwum Wybickiego (10. 10). Prof. Rutkowski poruszył 26. 9. kwestię pisania wspomnień z czasów ostatniej okupacji, ks. dr J. Nowacki zaś przedstawił (6. 6.) wojenne losy archiwum archidiecezjalnego. Poza tym referowali swoje prace prof. R. Knapowski (Finanse wojenne Aleksandra — 23. 5.), prof. Łowmiański (O niewoli Słowian wg teorii Peistera — 21. 9.), dr G. Łabuda (Relacje Thietmara — 20. 6., Legenda Jomsborgu — 14. 7., Początki państwa polskiego — 7. 11.), dr J. Baumgart (Bracia Sułkowscy — 19. 9.). Prof. Uniw. Jagiellońskiego Wł. Konopczyński bawiąc w Poznaniu wygłosił odczyt na temat: Przyjaźń narodów w świetle socjologii i historii 18. 10. 45.

Ośrodkiem kultury naukowej promieniującym od nowa na ziemię wielkopolską stał się Uniwersytet Poznański, w którym już od początku lutego 1945 roku rozpoczęły się prace przygotowawcze około uruchomienia poszczególnych wydziałów w miarę napływu sił naukowych. Równocześnie postępowały prace organizacyjne w Akademii Handlowej. Obie uczelnie zdołały już w pierwszych tygodniach rozpocząć, mimo piętrzących się trudności, pracę naukową.

Szerokie rzesze społeczeństwa, zlakonię polskiego słowa o polskiej kulturze, korzystały z wykładów popularno-naukowych, z których wyłonił się później Miejski Ośrodek Kultury i Oświaty, mieszczący się w jedynej do niedawna Bibliotece Publicznej z czytelnią dla wszystkich. Z bibliotek naukowych jedynie Biblioteka Uniwersytecka wyszła na ogół bez szwanku, bo tak Biblioteka Raczyńskich, jak i piękny księgozbiór Jana Kasprowicza z Muzeum Miejskiego oraz cały szereg innych bibliotek publicznych i prywatnych uległ rozgrabieniu przez Niemców.

W dziedzinie sztuki na pierwsze miejsce wysuwa się Teatr Wielki, który pod sprężystym kierownictwem dyr. Zygmunta Wojciechowskiego pracuje chlubnie, jako jedyny w Polsce (poza Katowicami) stały teatr operowy. Pięć wznowień dawnych dzieł w ciągu kilku miesięcy („Krakowiacy i Góralc. — „Rigoletto“ — „Wesoła wdówka“ — „Cyrułik sewilski“ — „Kraina uśmiechu“) świadczą najlepiej o pracy tej najpoważniejszej dziś placówki kulturalnej w Wielkopolsce.

Z żalem zanotować musimy, że rozpoczęte dobrze koncerty symfoniczne Filharmonii Poznańskiej pod dyrekcją prof. Zdzisława Jahnkego zostały przerwane na skutek braku odpowiednich funduszków. Mimo to, życie koncertowe (soliści, zespoły kameralne) trwa, obejmując swoim zasięgiem niemal całą Wielkopolskę. Również odżywają coraz liczniejsze chóry Wielkopolskiego Związku Śpiewackiego.

Dużym powodzeniem cieszą się teatry poznańskie: Teatr Polski, Nowy, Domu Żołnierza oraz Miejski Teatr dla Młodzieży i Marionetki. Widownie ich wypełnia często publiczność z najdalszych nawet miast wielkopolskich dzięki zbiorowym wycieczkom na popularne sztuki (m. in. „Ziemia oskarża“ W. Karczewskiej).

Na olbrzymie trudności napotyka natomiast życie plastyków, którzy do tej pory, podobnie jak i literaci poznańscy nie posiadają własnego lokalu, nie mówiąc już o domu, jak to bywa w innych miastach. Mimo to, zorganizowano już parę wystaw, lecz dopóki nie będzie stałego salonu sztuki, dopóty mowy być nie może o normalnej pracy artystów.

W dziedzinie literatury na pierwsze miejsce wysuwa się „Życie Literackie“ wydawane przez Związek Zawodowy Literatów Polskich w Poznaniu, gromadzące najpoważniejsze pióra polskie. „Czwartki literackie“ odbywane systematycznie co tydzień, skupiają liczną publiczność na wieczorach literackich i naukowych. Liczne wydawnictwa w Poznaniu (instytucji naukowych i społecznych) otwierają dla literatów i publicystów swoje łamy.

W życiu kulturalnym Poznania wymienić jeszcze należy towarzystwa naukowo-społeczne, jak rozwijające się towarzystwo Miłośników m. Poznania, Tow. Literacko-Naukowe im. J. Kasprowicza, Towarzystwo Krajoznawcze, jako ściśle związane z regionem ziemi wielkopolskiej.

Wspomnieć tu trzeba również o audycjach poznańskiej rozgłośni Polskiego Radia, w których często słyszymy pogadanki literackie i naukowe interesujące słuchaczy ze względu na tematy ściśle z ziemią wielkopolską związane.

Życie kulturalne Poznania, mimo ogromu zniszczeń i strat tak w budynkach dawnych instytucji jak i w ludziach trwa i z dniem każdym rozwija się, rozszerzając zakres swoich wpływów na co raz szersze kręgi zmęczonej długą okupacją ziemi wielkopolskiej. (Str.)

WYDAWNICTWA

KSIĘGARNI AKADEMICKIEJ

Spółdz. z odp. udz.

Poznań, Zygmunta Augusta 1

- Bossowski, J. J. prof. dr — Wiadomości z nauk kryminologicznych 120,—
- Dobrowolski, J. M. prof. dr — Uprawa i zbieranie roślin lekarskich, aromatycznych i korzennych
- Gałęcki, A. prof. dr — Zarys chemii fizycznej
- Jaśkowiak, Fr. — Zabytki Poznania po pożodze 20,—
- Kalandyk, St. prof. dr — Podręcznik Fizyki, wyd. II.
- Kasznica, St. prof. dr — Polskie prawo administracyjne 200,—
- Kostrzewski, J. prof. dr — Prasłowiańszczyzna
- Miętkiewski, E. dr — Wskazówki do ćwiczeń z fizjologii
- Moczarski, Z. prof. dr — Hodowla zwierząt. Budowa, pokrój, typy, żywienie i chów zwierząt gospodarskich
- Rutkowski, J. prof. dr — Gospodareze Dzieje Polski, wyd. II.
- Stolzmann, Zdz. dr — Zbiór ćwiczeń z chemii fizjologicznej
- Tertulian, Apologeticus, tłum. prof. dr Jan Sajdak (Pisma Ojców Kościoła t. XX)
- Wojciechowski, Zygmunt prof. dr — Państwo Polskie w wiekach średnich, dzieje ustroju 250,—

Wydawnictwo:

„PRZEGLĄDU WIELKOPOLSKIEGO“
„KRONIKI STOŁ. MIASTA POZNANIA“

Nowość!

Nowość!

Zygmunt Wojciechowski

PAŃSTWO POLSKIE W WIEKACH ŚREDNICH

Dzieje Ustroju.

TREŚĆ

Kształtowanie się Państwa Polskiego.

Ustrój dynastii panującej.
Stosunek prawny Polski do cesarstwa, papieństwa i Czech.
Stosunek Kościoła do państwa.
Urzędy, podział administracyjny i wiece urzędnicze.
Skarbowość.
Wojskowość.
Sądownictwo.

Państwo stanowe.

Władza książęca i królewska. Zagadnienia ogólne.
Unia Polski z Litwą.
Lenna i inkorporacje.
Stosunek prawny Państwa polskiego do cesarstwa i papieństwa.

Społeczeństwo stanowe.

Kościół i państwo.
Rycerstwo — szlachta.
Włościanie i kolonizacja na prawie niemieckim.
Miasto i mieszczanstwo i sądownictwo prawa niemieckiego w Polsce.
Stanowisko prawne Ormian i Żydów.
Urzędy ziemskie.
Elekcje królewskie.
Powstanie Sejmu.
Konfederacje.

Administracja i sądownictwo.

Urzędy państwowe.
Skarbowość.
Wojskowość.
Sądownictwo na prawie polskim.

Charakterystyka ogólna.

Str. 265, cena 250,— zł

POZNAN 1945

KSIEGARNIA AKADEMICKA

SPÓŁDZIELNIA Z ODP. UDZ.